

**Adam Chmielewski, Tadeusz
Gadacz, Adam Grobler, Jacek J.
Jadacki, Romana Kolarzowa, Jan
Woleński**

**Kondycja filozofii w Polsce : dawniej i
teraz**

Diametros nr 1, 144-203

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Uwagi o kondycji filozofii w Polsce

Jan Woleński

Wstęp

Od czasu do czasu warto zrobić rachunek profesjonalny sumienia. Niniejszy tekst jest tylko wprowadzeniem do dyskusji. Z góry zaznaczam, że poza kilkoma uwagami, które następują, nie będę zajmował się oceną stanu badań filozoficznych w Polsce. Wedle mojego przekonania jest on na ogół taki sam jak gdzie indziej, ani lepszy, ani gorszy. Wprawdzie nie jest tak, że w Polsce pojawiły się ostatnio idee, które wstrząsnęły filozoficznym światem, ale też niewiele miejsc na świecie znajduje się w innej sytuacji. Niemniej jednak warto dyskutować o miejscu filozofii polskiej w świecie. Nadto chciałbym poruszyć kwestię, by tak rzec, wewnętrznej spójności naszego środowiska filozoficznego, a także miejsca filozofii w szeroko rozumianym życiu intelektualnym społeczeństwa, zwłaszcza w mediach i edukacji.

Pewien program Twardowskiego

Chcę przypomnieć program Twardowskiego dotyczący stosunku filozofii polskiej do filozofii światowej, zarysowany przez niego sto lat temu. Miał on pewną wizję na ten temat (por. wystąpienie na inauguracyjnym posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Filozoficznego w 1904 r., artykuł w I numerze *Ruchu Filozoficznego* oraz tekst na temat filozofii w dyskusji o stanie i potrzebach nauki polskiej opublikowany w I tomie pisma *Nauka Polska* w 1918 r.). Drugi ze wspomnianych artykułów Twardowskiego jest może najbardziej interesujący. Stanowi on ukrytą polemikę ze Struvem, który bardzo wysoko cenił filozoficzne możliwości Polaków. Uważał nawet, że są powołani do stworzenia jakiejś uniwersalnej syntezy filozoficznej. Twardowski nie podzielał tego poglądu. Uważał za rzecz fundamentalną, by filozofowie polscy jasno określili swój stosunek do filozoficznych potęg, Anglii, Francji i Niemiec. Sam Twardowski studiował w

niemieckim obszarze językowym, aczkolwiek nie w obrębie typowej filozofii niemieckiej. Brentanizm był bowiem w opozycji do kantyzmu i idealizmu niemieckiego. Przypomnijmy, że austriacka myśl filozoficzna przed pojawianiem się Brentany we Wiedniu nie była zbyt imponująca. Władze austriackie najzupełniej świadomie blokowały wpływy niemieckie, bo te kłóciły się z rywalizacją o hegemonię polityczną w świecie niemieckojęzycznym. Skutkiem tego filozofia austriacka była dość staromodna, zwłaszcza w Austrii rdzennej. Brentano musiał więc budować od nowa. Niemców nie znosił, ale cenił Milla i Comte'a. Na jego seminariach czytano Locke'a i Hume'a. Tradycję tę przejął m. in. Husserl, a po nim Ingarden.

Twardowski poszedł śladami swego mistrza. Podobnie jak on musiał zaczynać od nowa. Nawet historycy filozofii austriackiej nie są w stanie wymienić jakiegokolwiek filozofa w Uniwersytecie Lwowskim przed 1870 r. Po polonizacji Uniwersytetu pojawił się tam wprawdzie hr. Dzieduszycki, ale miał na głowie wiele innych rzeczy oprócz filozofii. Powołanie Polskiego Towarzystwa Filozoficznego było jednym z elementów budowy filozofii polskiej przez Twardowskiego. Uczynił to, gdy miał już za sobą blisko 10 lat pracy jako profesor i mógł spokojnie uznać, że coś osiągnął w pracy dydaktycznej. Twardowski miał przy tym do rozwiązania problem, który nie zaprzętał Brentana. Ten przybył do Wiednia z Niemiec. Opuścił Würzburg w burzliwych okolicznościach z powodu swego negatywnego stanowiska w sprawie dogmatu o nieomyślności papieża. Liberalizująca się monarchia habsburska chętnie widziała u siebie profesora, któremu nie poszczęściło się w Niemczech. Wszelako życie Brentana nie ułożyło się szczęśliwie także we Wiedniu. Jego związek małżeński, jako zawarty przez byłego duchownego, nie został uznany w Austrii i ostatecznie musiał zrezygnować z katedry. Miał uczniów, wielu i wielkich, ale opuścił Austrię nader rozgoryczony, o czym świadczy krótki tekst „Moje ostatnie życzenia dla Austrii”. Obie ojczyzny, Niemcy i Austro-Węgry nie okazały się dla Brentana łaskawe. Nie miał on jednak zamiaru tworzenia narodowej filozofii austriackiej, ani tym bardziej niemieckiej. Filozofia była dla niego czymś uniwersalnym, a nie zabarwionym jakimkolwiek kolorytem narodowym.

Nic nie wskazuje na to, by Twardowski traktował filozofię inaczej. Nie cenił zbyt wiele tzw. polskiej filozofii narodowej. Za dwie rzeczy, po pierwsze, za skłonność do spekulacji, a po drugie, za zbyt dużą podległość myśli niemieckiej. Wszelako Twardowski działał w konkretnych warunkach historycznych. W kraju podzielonym i takim, którego dwie trzecie (biorąc pod uwagę ilość zaborów) nie miało własnego życia akademickiego. Gdy został profesorem, upłynęło niespełna trzydzieści lat od wprowadzenia języka polskiego w nauczaniu w Krakowie i Lwowie. To wszystko mogło się zmienić, zależnie od aktualnej sytuacji politycznej, na lepsze lub gorsze. Twardowski przykładał do filozofii olbrzymie znaczenie kulturowe. I chciał, by Polacy byli wykształceni filozoficznie. U siebie. Nie u innych. Nie wystarczył mu wcale liczny zastęp filozofów polskich pobierających nauki za granicą, bo byli oni zbyt poddani ideom krążącym w miejscu, gdzie studiowali.

Twardowski nie miał nic przeciwko filozofii niemieckiej, francuskiej czy angielskiej, jeśli była uprawiana w sposób należyty. Uważał jednak, że myśl stworzona przez naród nie należący do dominant filozoficznych narażona jest na podwójne niebezpieczeństwo. Może zacząć rozwijać się całkiem obok filozofii światowej, lekceważąc kontakt z nią lub też bez reszty ulec wpływowi jednej z orientacji. W jednym i drugim wypadku, nie będzie w stanie stworzyć nic oryginalnego. Jak temu zaradzić? Odpowiedź Twardowskiego była prosta. Trzeba mianowicie starać się czerpać z tego, co w świecie jest wartościowe i nowe. Wtedy, być może, pojawią się oryginalne idee. Apelowił do uczniów, by śledzili światowe życie filozoficzne. Po to w końcu powołał *Ruch Filozoficzny*. Piszcie podręczniki po polsku, zwłaszcza te do historii filozofii. Dzieje filozofii napisane przez Francuza podkreślają dorobek myśli francuskiej, przez Niemca – dorobek myśli niemieckiej, przez Anglika – dorobek myśli angielskiej. W szczególności, nie ma wielkich szans, by polska myśl filozoficzna została należycie doceniona przez przedstawicieli nacji dominujących. One żywią się ideami własnymi. Twardowski chciał, by filozofia polska z jednej strony korzystała z dorobku filozofii światowej, a z drugiej, by utrzymywała, by tak rzec, równy dystans od filozofii światowej. Realizację tego programu uznał za drogę ku filozofii narodowej.

Łatwo taki program nakreślić, trudniej zrealizować. Zawsze też pojawia się wątpliwość, czy rozpoznanie takich czy innych nowinek światowych jako ważnych było (czy jest) trafne i co to znaczy, że filozofia jest należycie uprawiana. Niemniej jednak i niezależnie od takich czy innych ocen, Twardowski i jego uczniowie sporo zrobili, by wyżej scharakteryzowany program był wdrażany. Sam Twardowski wykładał o nowinkach w logice, dokładnie na przełomie XIX i XX w. Nie dzieło niemieckie ani francuskie, ale *Badania dotyczące rozumu ludzkiego* Hume'a (tłum. Twardowski i Łukasiewicz) zostały obrane jako pierwszy tom zapowiadanej serii przekładów z języków obcych. Poważne zainteresowania Łukasiewicza logiką matematyczną zaczęły się od lektury *Principles of Mathematics* Russella. *Historia filozofii* Tatarkiewicza jest właśnie takim podręcznikiem, o jakim myślał Twardowski, zasadniczo sprawiedliwym wobec Anglików, Francuzów i Niemców. Dwa inne znane podręczniki wydane w okresie międzywojennym, mianowicie *Psychologia* Witwickiego i *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* Kotarbińskiego noszą wyraźne piętno Twardowskiego wizji rozwoju filozofii polskiej i filozoficznego kształcenia Polaków. Proszę zwrócić uwagę na to, że większość artykułów publikowanych przez filozofów polskich w językach obcych niemal równocześnie ukazywała się w języku polskim. Gdy Łukasiewicz projektował *Collectanea Logica*, specjalistyczne pismo logiczne, chciał by każdy artykuł Polaka ukazywał się w języku polskim i tłumaczeniu na jakiś język światowy. Zainteresowania Ajdukiewicza konwencjonalizmem francuskim wzięły się z potrzeby zrównoważenia wpływów niemieckich. Polscy logicy pozostawali pod wpływem Russella, ale znali dobrze Fregego i Peirce'a. Ten drugi był ignorowany we własnym kraju, a Heinrich Scholz *explicite* stwierdził, że to właśnie wielcy logicy polscy przywrócili światu pierwszego. Dla Hilberta czy Gödla (mowa o okresie międzywojennym) zacytowanie Husserla w pracy z logiki matematycznej byłoby dziwactwem, ale proszę przejrzeć prace Leśniewskiego i Tarskiego pod tym względem.

Pierwszy poważny jubileusz Polskiego Towarzystwa Filozoficznego miał miejsce w 1929 r. Z tej okazji wydano specjalną księgę pamiątkową. Zawiera ona przemówienie Twardowskiego wygłoszone z okazji tego jubileuszu. Nie poruszał

on już spraw programowych, a skupił się bardziej na kwestiach metafizycznych. W przemówieniu tym można wyraźnie wyczuć zadowolenie z tego, co zrobiono przez 25 lat. Nie tylko w sensie organizacyjnym, ale również ideowym. Mowa jest tam o krytycyzmie, już nie tylko z punktu widzenia kantyżmu, ale także innych filozofów, przede wszystkim Hume'a. Między wierszami brzmi chyba coś takiego. My też mamy prawo do oceniania wielkich filozofów, bo sami zrobiliśmy niemało. Nie było jeszcze szkoły lwowsko-warszawskiej w pełnym znaczeniu, polska szkoła logiczna zaczęła dopiero wychodzić na szerokie wody, Koło Wiedeńskie dopiero za rok miało zauważyć, że najbliżej mu do Warszawy i Lwowa, Carnap, Menger i Scholz być może już przygotowywali się do swych wizyt w Polsce, które wprawiły ich w zdumienie z powodu poziomu filozoficznych dyskusji w Polsce, a Ingarden zaczynał pisanie swego *opus magnum* o dziele literackim. Nie wiemy, czy Twardowski to wszystko dostrzegał, ale nie ma wątpliwości, że jego wizja filozofii polskiej znacznie przyczyniła się do jej rozkwitu w II Rzeczypospolitej.

Trochę historii w perspektywie spraw aktualnych

Jak dzisiaj mają się sprawy w związku z miejscem filozofii w życiu publicznym i międzynarodową pozycją filozofii polskiej? Zacznę od tej drugiej sprawy. Myślę, że program Twardowskiego jest aktualny również dzisiaj. Oczywiście, nie można twierdzić, że jesteśmy w takiej samej sytuacji jak w 1904 r. Niemniej jednak, ciągle warto rozważać, jak ma się filozofia polska do filozofii światowej. Na pewno nie jesteśmy filozoficznym supermocarstwem. Nigdy zresztą nie byliśmy. Mamy jednak już prawie siedem wieków nieprzerwanej akademickiej tradycji w filozofii, a nawet więcej, jeśli liczyć od Witelona. Chyba najdłużej w pasie geograficznym od Skandynawii po Bałkany. Miała filozofia polska rozmaite okresy. Dobrze, jak w XV i XVI w., mierne, jak XVII i I połowie XVIII w., odżyła w okresie Oświecenia; trzeba inaczej niż Twardowski zapatrywać się na romantyzm i pozytywizm polski. Potem przyszedł XX w. ze szkołą lwowsko-warszawską, fenomenologią, próbami modernizacji neoscholastyki, pojedynczymi postaciami, jak Petrażycki, Chwistek, Witkacy czy Elzenberg, całkiem interesującym marksizmem polskim,

przynajmniej u niektórych jego przedstawicieli oraz okresem ostatnim, jeszcze niemożliwym do zbilansowania. Bywało, że filozofia polska wpływała na kształt myśli światowej, np. w przypadku filozofii politycznej XV i XVI w. czy polskiej szkoły logicznej (mimo wszystko zaliczam ją do filozofii, a nie matematyki). Zapewne mogła wpłynąć wydatniej, gdyby świat docenił np. Petrażyckiego czy Witkacego. Filozofia polska była na ogół pluralistyczna, otwarta na świat i w zasadzie trzeźwa. Nie unikała pytań ważnych z narodowego punktu widzenia (w sensie podstawowych problemów politycznych).

Wszelako, jeszcze raz powtarzam, nie jesteśmy supermocarstwem. I pewnie nigdy nie będziemy. Rodzi to rozmaite konsekwencje, całkowicie podobne do ogólnej oceny dorobku kulturowego małych i średnich narodów. Możemy oczywiście debatować, co by było, gdyby Wyspiański żył w Paryżu a nie w Krakowie, podobnie, jak potoczyłaby się kariera Witkacego, gdyby znalazł się w jakiejś światowej stolicy artystycznej. Co dałoby ukazanie się dzieł Petrażyckiego po angielsku w swoim czasie albo jak potoczyłaby się fenomenologia, gdyby *Spór o istnienie świata* mógł być powszechnie czytany. Wedle mojego przekonania nie zmieniłoby to biegu wydarzeń w plastyce, literaturze czy filozofii. Jest bowiem tak, że o akceptacji dzieła jako bardzo ważnego czy nawet tylko ważnego decyduje jego powszechne uznanie jako takiego, a nie tylko jego wartość. Moźni tego świata nie są filantropami w dziedzinie wartości duchowych. Dzielą się nimi chętnie, ale tylko pod warunkiem, że są uznani za ich twórców. Ogólna ocena nauki niemieckiej nie zmieni się na jotę, gdy Kopernik zostanie uznany za Polaka, to samo dotyczy Marii Curie-Skłodowskiej i Francji, analogicznie Chopina i muzyki francuskiej. Amerykanie na ogół mówią, że Tarski był logikiem amerykańskim, w najlepszym (dla nas) razie, że polsko-amerykańskim. Bynajmniej nie namawiam do kruszenia kopii o narodowość. To zresztą niczego nie da. Paradoksalnie, ale im dana nacja bardziej zasłużona w kulturze, tym jest bardziej nacjonalistyczna w kwestii swego dorobku. Einstein wyraził to z właściwym sobie poczuciem humoru, około 1918 r., gdy jeszcze nie było wiadomo, czy ogólna teoria względności jest prawdziwa: „Jeśli moja teoria okaże się prawdziwa, to Niemcy uznają mnie za Niemca, a Francuzi za obywatela

świata, ale jeśli okaże się fałszywa, to dla Francuzów będę Niemcem, a dla Niemców Żydem.” Właśnie.

Otóż nic nie jest za darmo w przypadku miejsca filozofii średniego czy małego narodu w światowym szyku. Trzeba natrudzić się sporo, by tam być dostrzeganym i uznanym. Gdy Tatarkiewicz zastanawiał się nad tematem swego doktoratu w Marburgu, Natorp poradził mu, by zajął się Arystotelesem. „Może to przydać się w Pańskim kraju” – dodał (kontekst wskazuje, iż czołowy neokantysta sądził, że w Polsce Arystotelesem nie zajmowano się). Tatarkiewicz nie odnotował, jakim tonem ta zachęta została wypowiedziana, ale można przypuszczać, że z dobrotliwą wyższością. Cóż, Natorp nie wiedział, że akurat we Lwowie wychodzi (lub nawet wyszło) najciekawsze dzieło o Arystotelesie napisane w początkach XX w., mianowicie książka Łukasiewicza *O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa*. Tatarkiewicz wspomina dalej, że z Marburga pojechał do Lwowa, by przekonać się, jak Polacy pracują w filozofii. I skonstatował, że lepiej niż, gdzie indziej. Wszelako dla tych „gdzie indziej” było to na ogół bez znaczenia. Quine był zaprzyjaźniony z wieloma Polakami. Z rozrzewnieniem wspominał swój pobyt w Warszawie w 1932 r. Gdy zostałem mu przedstawiony, od razu sygnął kilkoma nazwiskami. A jednak napisał, że nie zdziwił się, iż Bolzano antycypował jego definicję prawdy logicznej, natomiast zupełnie przeciwnie było, gdy zauważył, że idea ta znajduje się u Ajdukiewicza. Chciałoby się zapytać, cóż w tym takiego dziwnego (w formie anegdoty podam, że Quine uważał Zamenhofa za Rosjanina, zapewne z uwagi na końcówkę nazwiska). Gdy zebrałem cytaty z Bolzana u filozofów polskich lat 1900-1930 i przekazałem dane Janowi Bergowi, czołowemu znawcy myśli bolzanowskiej, był też wielce zdziwiony. Wcześniej wiedział tylko, że Twardowski powoływał się na *Wissenschaftslehre* w swej habilitacji z 1894 r. Wszelako praca habilitacyjna Twardowskiego wyszła po niemiecku i była dziełem znaczącym w tym czasie. Znakomita historia filozofii Überwega (wydanie z lat dwudziestych poprzedniego wieku) ma nawet dość spory rozdział o współczesnej (relatywnie do czasu wydania) filozofii polskiej. Od kilku lat wychodzi nowa edycja, znacznie poszerzona. Jakiś czas temu *Ruch Filozoficzny* podał, że nie ma wielkich szans na

to, by znalazło się miejsce dla analogicznego rozdziału w obecnym wydaniu. Nie twierdzę, że tego rodzaju fakty czy wypowiedzi są powszechne. Na pewno można przytoczyć im przeciwne, może nawet więcej. Nie chcę też sugerować, że uwagi Natorpa czy Quine'a albo też decyzja redaktorów nowego wydania Überwega świadczą o uprzedzeniach. Niemniej jednak, nie ma co łudzić się. Są one wyrazem postaw, które w najlepszym razie przejawiają się w uprzejmej acz chłodnej obojętności. Jest ona osadzona w głębokim przekonaniu, że nie ma co zakładać a priori, iż w filozofii polskiej dokonano czegoś naprawdę wartościowego.

Czy można coś zrobić? (kilka przykładów pozytywnych i negatywnych)

Czy można coś zrobić, by było inaczej? By ludzie nie dziwili się, że taka lub inna ważna idea pojawiła się w Polsce? By nie sądzono, że Polak winien zająć się Arystotelesem, bo to może się przydać w jego ojczyźnie. By nie ignorowano myśli polskiej w podręcznikach historii filozofii? Można, pewnie nie zawsze, ale często. Tutaj muszę odwołać się do własnego doświadczenia, a więc do popularyzacji myśli polskiej w jednej tylko dziedzinie, mianowicie w logice i filozofii analitycznej. Chcę przy tym wyraźnie stwierdzić, że nie przypisuję sobie wyłączności w tej sprawie. Nie byłem pierwszym i nie byłem jedynym, że wspomnę tylko J. Bocheńskiego, H. Hiża, Z. Jordana, J. Kalinowskiego, Cz. Lejewskiego, J. Skolimowskiego i J. Szrednickiego z dawniejszych, a J. J. Jadackiego z czasów obecnych. Moje (i zapewne innych) doświadczenie sugeruje prostą replikę na to, że nie ma co zakładać a priori, iż w filozofii polskiej dokonano czegoś naprawdę wartościowego. Trzeba mianowicie starać się pokazać, że jest właśnie inaczej. Gdy zaczynałem swoją działalność, by tak rzec międzynarodową, powszechnie identyfikowano polską filozofię analityczną z logiką matematyczną. Dzisiaj na szczęście jest inaczej. Ale trzeba było ku temu wielu konferencji, odczytów, artykułów, książek (łącznie z wydaniem prac filozofów polskich w językach światowych), obecności w globalnym życiu filozoficznym (bo outsiderzy nie są wiarygodni, może to niesprawiedliwe, ale tak jest) i dyskusji prywatnych. Te ostatnie są osobliwie ważne, bo jeśli nie przekonamy kolegów z zagranicy (dokładniej: z filozoficznych supermocarstw) o

naszych racjach, to to, co robimy, nie będzie skuteczne. Oczywiście, o ile owe racje zasługują na akceptację. Przy wszystkich problemach z oceną dokonań filozoficznych, świat nie uznaje lipy, przynajmniej na dłuższą metę. Dzisiaj funkcjonuje pojęcie „filozofii austriacko-polskiej” (ukute poza Polską) odnoszone do kombinacji brentanizmu i logiki współczesnej. Można powiedzieć więc, że udało się. A gdy uda się, to wtedy rychło okazuje się, że myśl „prowincjonalna” bywa atrakcyjna. W rozważanym przypadku, filozofia austriacko-polska jest nie wyłącznie kategorią historyczną, ale także pewną alternatywą dla analitycznej tradycji wyrosłej ze źródeł anglosaskich. W samej rzeczy, ilość międzynarodowych konferencji i sympozjów na temat analitycznej filozofii polskiej jest imponująca. Oto przykłady: 1986 – Jabłonna, filozofia polska i austriacka; 1986 – Manchester, stulecie filozofii polskiej w związku z setną rocznicą urodzin Kotarbińskiego, Leśniewskiego i Tatarkiewicza; 1988 – Jabłonna, prakseologia; 1989 – Kraków, teoria przedmiotów Meinonga i Twardowskiego; 1989 – Trento, środkowo-europejskie źródła epistemologii; 1990 – Kraków, filozofia Kazimierza Ajdukiewicza; 1991 – Lwów, filozofia i myśl społeczna na Zachodniej Ukrainie na przełomie XIX i XX w.; 1992 – Grenoble, Leśniewski; 1993 – Kraków, dziedzictwo Brentana; 1993 – Kraków, sześćdziesiąt lat semantycznej definicji prawdy; 1995 – Kazimierz, Tarski and Davidson; 1995 – Lwów, Warszawa, stulecie szkoły lwowsko-warszawskiej; 1996 – Dublin, Łukasiewicz; 1997 – Freiburg, Bocheński; 1998 – Wiedeń, Tarski i Koło Wiedeńskie; 2001 – Warszawa, stulecie urodzin Tarskiego; 2001 – Jerozolima, stulecie urodzin Tarskiego; 2002 – Freiburg, stulecie urodzin Bocheńskiego; 2003 – Nancy, filozofia polska. Na 2004 r. są przewidziane: kolokwium o filozofii polskiej w ramach roku polskiego we Francji (Paryż), sympozjum o filozofii polskiej (Montreal) i konferencja o filozofii polskiej (Jerozolima; ze szczególnym uwzględnieniem dorobku osób pochodzenia żydowskiego). Do tego dochodzą konferencje Ingardenowskie (por. niżej), dni polskie w ramach kongresów GAP (por. niżej) i cały szereg filozoficznych spotkań bilateralnych na Ukrainie, np. w każdą rocznicę śmierci Twardowskiego. To daje (od 1985 r.) więcej niż dwie konferencje międzynarodowe rocznie poświęcone wyłącznie lub prawie wyłącznie filozofii

polskiej. A trzeba też pamiętać, że wątek austriacko-polski jest stale i silnie obecny na wielu innych imprezach filozoficznych.

Powie ktoś, że przykład nie jest dobrany właściwie, bo dotyczy filozofii analitycznej, gdzie język jest dość uniwersalny i istnieje pewien ustalony standard problemowy. Być może, ale próbować trzeba. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych miały miejsce w Krakowie międzynarodowe konferencje Ingardenowskie ze znaczącym udziałem gości z zagranicy. Miały odbywać się raz na pięć lat. Od przeszło dziesięciu lat zapadła głucha cisza w tej sprawie. Ingarden jest powszechnie wymieniany jako jeden z największych filozofów polskich, nierzadko jako największy. Wszelako samymi oświadczeniami tego rodzaju niczego nie zdołała się. Bo świat filozoficzny musi wiedzieć, co on takiego stworzył, że zasługuje na miano wielkiego filozofa. Jest prawdziwym skandalem, że *Spór o istnienie świata* nie jest dostępny w języku angielskim. Wydawcę można znaleźć bez kłopotu, ale trzeba przygotować tłumaczenie. Są filozofowie zagraniczni, którzy uczą się języka polskiego, by móc czytać polskich autorów w oryginale, ale nie ma co liczyć na powszechność w tym względzie. Gdyby książka *Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych* nie ukazała się po niemiecku a potem po angielsku, semantyczna definicja prawdy pozostałaby ideą lokalną lub zostałaby sformułowana ponownie przez kogoś innego, zapewne nie Polaka, od razu po angielsku lub niemiecku i zdobyłaby podobne uznanie, jakie stało się udziałem konstrukcji Tarskiego (kto nie wierzy, niech zagłębnie do Internetu, a znajdzie około 10 tys. odniesień do hasła „Tarski prawda”, a do „Tarski” ponad 60 tys.). Zakłęcia w rodzaju „Mieliśmy jedynie trzech wybitnych filozofów: Ingardena, Elzenberga i [nie wymienię trzeciego nazwiska]”, „Elzenberg był jednym z trzech najwybitniejszych umysłów europejskich” lub „Obok tradycji lwowsko-warszawskiej mieliśmy niemniej ważną wileńsko-krakowską” są efektowne, ale całkowicie bezproduktywne. O ile wiem, autorzy tych oświadczeń nawet palcem nie kiwnęli, by cokolwiek uczynić dla okazania, że są one trafne, nawet w skali lokalnej. Myślę, że ten „grzech zaniechania” powoduje, że hasło „Elzenberg” wykazuje 773 odniesienia internetowe, a hasło „Ingarden” nieco ponad 4 tysięcy, niby sporo, głównie jednak dzięki cytatom z przekładów;

oczywiście, podane dane liczbowe trzeba brać z pewnym przymrużeniem oka, ale coś one jednak mówią.

Cytowane wypowiedzi podkreślają znaczenie pewnych tradycji filozoficznych. Nie jest to rzecz osobliwa w filozofii. Sam też to czynię, bo twierdzę, że szkoła lwowsko-warszawska była najważniejszym wydarzeniem w historii filozofii polskiej. Do głowy by mi jednak nie przyszło, by publicznie oświadczać, że mieliśmy jeno trzech wybitnych filozofów, np. Twardowskiego, Ajdukiewicza i Kotarbińskiego lub, że Tarski był jedną z n największych umysłowości w Europie czy nawet świecie. Po pierwsze, dlatego, że tego rodzaju rankingi są w gruncie rzeczy absurdalne, a po drugie, ponieważ staram się wystrzegać absolutyzowania własnego punktu widzenia. Ingarden nie cenił zbytnio szkoły lwowsko-warszawskiej. Wszelako protestował przeciwko próbom uznawania jej li tylko za filię Koła Wiedeńskiego. Dotykam tutaj kwestii szacunku dla naszej własnej przeszłości i terażniejszości filozoficznej. Nie mogę uznać, że jej przejawem jest artykuł o filozofii polskiej w *The Routledge Encyclopedia of Philosophy*. Wynika z niego, że filozofia polska była i jest w połowie katolicka. Autorzy znaleźli miejsce dla Wincentego Kadłubka, ale nie dla Kotarbińskiego. Organizatorzy wspomnianej wyżej konferencji w Manchesterze zaprosili do udziału w niej wielu filozofów żyjących na emigracji. Nikt z emigrantów po 1968 r. nie przyjechał, ba nawet nie odpowiedział na zaproszenie, a dotyczy to również takich, których honoruje się za „rozstawianie imienia Polski w świecie”. Notujemy zasadniczy kontrast pomiędzy tym, co zdziałali „dawni emigranci” (nazwiska wymieniłem wcześniej) a dokonaniem późniejszych polskich filozofów, którzy znaleźli się na obczyźnie, aczkolwiek ostatnio sprawy idą w lepszym kierunku. W 2001 r. przypadła setna rocznica urodzin Tarskiego. O ile mi wiadomo, żaden z oddziałów PTF nie poświęcił jakiegokolwiek uwagi temu wydarzeniu. Jeśli mylę się, to z niewiedzy, ale wiem na pewno, że Oddział Krakowski odmówił mojej propozycji wygłoszenia specjalnego wykładu z tej okazji. A sprawa dotyczyła autora bodaj najważniejszego odczytu w dziejach PTF. Dla sprawiedliwości, setna rocznica urodzin Ingardena także przeszła bez większego echa, ale to tylko pogłębia negatywne odczucie. W latach dziewięćdziesiątych w ramach kongresów

„Gesellschaft für analytische Philosophie” odbywały się dni polskie. W Monachium w 1997 r. było tak sobie, ale w Bielefeld w 2000 r. znacznie lepiej. Sukces dnia w Bielefeld skłonił redaktorów pisma *Erkenntnis* do wydania polskiego zeszytu. Niestety nasze skromne możliwości finansowo-organizacyjne utrudniają współpracę, bo w końcu Niemcy powiadają (i słusznie) „To nie może być tak, że tylko strona niemiecka organizuje dzień polski, a wy nie jesteście zbyt nim zainteresowani”. Skutkiem tego kongres w 2003 r. (też w Bielefeld) już nie miał dnia polskiego. Przykro to powiedzieć, ale w wielu przypadkach ani nie jesteśmy solidarni wobec własnej tradycji ani nie umiemy lub nie chcemy się o nią upominać. Bo jak inaczej rozumieć utracenie, zapewne rękami kolegów-filozofów zasiadających w KBN, ambitnego projektu L. Nowaka, by seria „Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences and the Humanities” miała dział „Polish Analytical Philosophy” poświęcony tłumaczeniom dzieł filozofów polskich na język angielski. Prawdziwymi wydarzeniami w naszym życiu filozoficznym były konferencje o filozofii Davidsona i Putnama z udziałem tych dwóch wybitnych myślicieli, zorganizowane przez U. Żegleń. Kiedy jednak przyszło do publikacji tekstów o Davidsonie, wydawnictwo Routledge ponoć zażądało pominięcia artykułów Polaków i redaktor książki niestety ugiął się. Chyba przedwcześnie, bo tom o Putnamie ma już inny charakter.

Problemy życia filozoficznego w Polsce

Przechodzę do spraw wewnętrznych. Szacunek dla własnej filozofii to nie tylko stosunek do jej tradycji. To także pewien typ solidarności z tym, co robi się na własnym podwórku. Życie filozoficzne było i jest związane z praktykami marketingowymi. Jedni, np. twórcy filozofii uprawianej po góralsku, stoją tam lepiej, inni gorzej. To rzecz zwyczajna i trudno mieć pretensje o to, że jedni potrafią, przy pomocy gazet, radia i telewizji, wysunąć swoich faworytów lub samych siebie na czoło, a inni są mniej efektywni w tym względzie. Inaczej jednak rzecz wygląda, gdy dotyczy sposobu odnoszenia się do roboty czysto profesjonalnej (używam tej kategorii w sensie czysto opisowym, a nie wartościującym). Gdy przeglądam literaturę rosyjską, czeską, węgierską,

francuską, niemiecką czy angielską, to uderza dbałość o to, by powoływać się na prace (współczesne, a nie dawne) powstałe w danym (w takiej kolejności) kręgu, ośrodku czy kraju. U nas rzecz na ogół ogranicza się do kręgu (jest to zrozumiałe z uwagi na relacje osobiste lub służbowe), a dalsze szczeble są ignorowane. Nie można rzeczy tłumaczyć zalewem informacji czy zrozumiałą (aczkolwiek nie do końca) tendencją doktoranta, by cytować Quine'a lub Riceoura, a nie polskiego Iksińskiego. Przykłady, gdy np. autor pracy o historii filozofii polskiej nie cytuje nikogo, ewentualnie poza samym sobą, nawet gdy pisze o szkole lwowsko-warszawskiej, są bardziej komiczne niż irytujące. Przypadki ignorowania polskiego dorobku przy nadmiarze cytowania obcego są nader częste. Jakiegokolwiek byłyby tego powody, nie świadczą one najlepiej o szacunku dla własnej myśli filozoficznej, nawet gdy nie jest ona tak ważna jak obca.

Nie mam zamiaru nawoływać, by każdy polski filozof czuł się zobowiązany do zajmowania się historią rodzimej filozofii oraz popularyzowania jej w kraju i za granicą. Byłoby to absurdem. Każdy ma prawo do własnego wyboru. Nie ma powodu, by kwestionować postawy polegające na zapoznawaniu historii i koncentracji na sprawach zasadniczych. Aczkolwiek moje przekonanie jest inne, rozumiem tych, którzy powiadają, że filozofia jest jedna, trzeba szukać prawdy, tylko prawdy i całej prawdy, a nieważne jest to, co ktoś powiedział na dany temat i w jakim języku wyraził swoje myśli, a nawet, czy ktokolwiek zechce zapoznać się z tym, co mamy do powiedzenia. Nie ma jednak wątpliwości, że zawsze znajdzie się grono osób zainteresowanych problemami, których kontekst staram się naszkicować. Jest tedy rzeczą ważną, by im przynajmniej nie przeszkadzać.

Nie jest zresztą wykluczone, że poziom filozofii systematycznej w danym kraju jest jakoś związany z szacunkiem dla rodzimej myśli. Na wszelki wypadek, lepiej mieć to na uwadze niż ignorować. Wspominałem wyżej, nawet nieco żartobliwie o postawie zamkniętej na świat. Twardowski uważał to za wysoce szkodliwe. Powinniśmy iść za jego przykładem. Tym bardziej, że mamy to i owo do nadrobienia. Zło okresu powojennego polegało nie tyle na administracyjnej dominacji jednej tylko filozofii, ile na sztuczności sytuacji, w której filozofia była

uprawiana. To, że marksizm był administracyjnie wyróżniony nie podlega oczywiście najmniejszej wątpliwości, ale nie należy przesadzać z opowiadaniem o zniewoleniu umysłów w Polsce, w każdym razie, jakoby było tak zawsze w latach 1945-1989. Sztuczność o jakiej wspomniałem, brała się ze świadomości uprawiania gry polegającej na udawaniu, że wszystko było normalne lub prawie normalne. Nie było, a każde udawanie rodzi złe skutki. Nie mieliśmy np. normalnych kontaktów międzynarodowych i całkowicie swobodnego dostępu do literatury. Każdy młody filozof fiński czy szwedzki spędzał co najmniej rok za granicą przy okazji robienia doktoratu, a skutki tego dla stanu myśli filozoficznej w tych krajach są powszechnie znane. Myśmy cieszyli się, gdy ktoś do nas przyjechał na jeden odczyt. Nie ma co oszukiwać się. Chociaż sytuacja filozofii polskiej była nieporównanie lepsza niż radzieckiej, czeskiej, wschodnio-niemieckiej itd., jej rozwój nie był naturalny. Trzeba odrobić te zaległości. Będzie łatwiej, gdy będzie się to odbywało w świadomości, że Polacy nie gęsi i swoją filozofię mają. Może nie tylko jako mniej lub bardziej złotą legendę przeszłości.

Mam znacznie mniej do powiedzenia w sprawie pozycji filozofii w naszym życiu publicznym, co nie znaczy, że nie ma tematów wartych dyskusji, np. kształtu bieżącego rynku wydawniczego. Jest on zdezorganizowany. Publikuje się wiele, ale w sposób chaotyczny, nie mówiąc już o jawnym piractwie. Zagrożone są znaczące serie wydawnicze, np. „Biblioteka Klasyków Filozofii”. Nie udało się uruchomić polskiego anglojęzycznego pisma filozoficznego. To, jakie mamy środki finansowe, zależy od czynników zewnętrznych. Nie załatwimy więcej pieniędzy dla filozofii. Nie sprawimy, by państwo lub świat businessu sponsorowały imprezy filozoficzne. A bez tego trudno będzie odrabiać zaległości. Polska jest atrakcyjnym krajem, turystycznie i intelektualnie. Filozofowie chętnie do niego przyjeżdżają. XI Międzynarodowy Kongres Logiki, Metodologii i Filozofii Nauki zorganizowany w Krakowie w 1999 r. był sporym sukcesem. Lokalny sponsoring był znikomy, ale rzecz została sprawnie przeprowadzona z uwagi na relatywnie małe koszty (w porównaniu z krajami zachodnimi). Sytuacja zmienia się. W tym roku zorganizowaliśmy konferencję stypendystów Centrum Historii i Filozofii Nauki w Pittsburghu. Impreza ta odbywa się raz na trzy lata.

Wielu Polaków skorzystało z gościny tej znakomitej instytucji i było rzeczą ze wszech miar uzasadnioną, że kolejna konferencja odbędzie się w naszym kraju. Trzeba się w gruncie rzeczy palić ze wstydu z powodu stosunku do tej imprezy ze strony możliwych sponsorów, tym bardziej że Argentyna, pogrążona w straszliwym kryzysie trzy lata temu, zdołała wyasygnować około 20 tys. dolarów na konferencję w 2001 r. Tegoroczna nie zostałaby zorganizowana, gdyby nie pomoc z zagranicy, ale sytuacja jest dla nas wysoce upokarzająca. Zaproponowano Polsce organizację Europejskiej Szkoły Języka, Logiki i Informacji w 2006 r. Byłoby to z wielkim pożytkiem przede wszystkim dla polskich studentów. Ale trudno przyjmować zobowiązania organizacyjne w takiej sytuacji jaka jest obecnie i gdy nic nie wskazuje, że ulegnie zmianie.

Pozycja filozofii w mediach nie jest najlepsza. Zdarza się, że imprezy filozoficzne są po prostu wyszydzane, jak w przypadku złośliwej wzmianki „Gazety Wyborczej” o konferencji „Dziedzictwo Brentana” w Krakowie w 1994 r. Nie dało się przekonać prasy codziennej i TVP, że warto coś napisać lub wyemitować w stulecie szkoły lwowsko-warszawskiej, potem tyleżlecie urodzin Tarskiego i w końcu o stuleciu PTF. Tygodniki są łaskawsze, ale i one grymaszą lub zachowują rezerwę. „Tygodnik Powszechny” zgodził się opublikować tekst o Twardowskim i jego znaczeniu, dopiero gdy okazało się, że Jan Paweł II przysłał bardzo sympatyczny list z okazji zorganizowania konferencji we Lwowie i Warszawie. Stosunek do szkoły lwowsko-warszawskiej jest przy tym przykładem niezwyklej ślepoty politycznej. Wszak formacja ta jest znakomitym przykładem tego, co może łączyć Polskę i Ukrainę. Ciekawe, czy organizatorzy (z naszej strony) roku polskiego na Ukrainie pomyślą o tym. Być może polityka mediów wobec filozofii jest w jakimś stopniu rezultatem wspomnianego wyżej marketingu filozoficznego, na pewno popieranego przez jakąś część naszego środowiska. Jeśli tak jest, to wypadałoby zaapelować do tej grupy, by nieco powściągnęła swe ambicje na rzecz bardziej ogólnego interesu. Rodzynki w rodzaju wykładów Kołakowskiego w telewizji nie równoważą przeważającego milczenia mediów w sprawach filozoficznych.

Nie jesteśmy też dobrze zorganizowani jako środowisko. Od lat nikt z filozofów nie został wybrany do Polskiej Akademii Nauk. Zapewne jest tak, że szanse są na to niewielkie. Dawny system polegał na przyznawaniu miejsc poszczególnym dyscyplinom. Został on odrzucony jako antydemokratyczny na rzecz wolnego wyboru. Potem wprowadzono kompromis, mianowicie ustala się grupy dyscyplin. Ponieważ w Wydziale I Nauk Społecznych najwięcej jest historyków i językoznawców, oni decydują o zasadach. Nie były one korzystne dla filozofów. Niemniej jednak, socjologowie i psychologowie zdecydowali się na manewr, który zwiększył szanse tych dyscyplin, a nawet okazał się skuteczny. Każde z tych środowisk wystawia tylko jednego kandydata. Co uczynili filozofowie w ostatnich wyborach? Desygnowali sześciu. I oczywiście wszyscy sromotnie przegrali. Jeszcze raz powtarzam, że szanse filozofa nie są wielkie, ale po co je zmniejszać?

I na koniec o edukacji filozoficznej, głównie w szkołach średnich. Propedeutyka filozofii znikła z polskich liceów na początku lat pięćdziesiątych, aczkolwiek przynajmniej pozostała logika. Sporadycznie starano się o przywrócenie przedmiotu po 1956 r. oraz w latach 1980-1981. Sam uczyłem wtedy propedeutyki w jednym z liceów wrocławskich i mogę zaświadczyć, że uczniowie byli nią zainteresowani. Zmiany polityczne po 1989 r. zdawały się dobrze wróżyć przywróceniu filozofii w liceach. Należałem nawet, z ramienia PTF, do jednej z ministerialnych komisji pracujących nad programem dla szkół średnich. Obiecywano powszechne wprowadzenie propedeutyki od połowy lat dziewięćdziesiątych już ubiegłego stulecia. Na tej podstawie znacznie rozszerzono uniwersyteckie kształcenie filozofów w Polsce, właśnie dla potrzeb nauczania w szkołach średnich. Szybko jednak przestałem otrzymywać zaproszenia na posiedzenia owej komisji. PTF i KNF wielokrotnie apelowały do różnych nazywających się ministerstw odpowiedzialnych za edukację o rozwiązanie problemu, od czasu do czasu pojawiały się artykuły prasowe na ten temat, ale decydenci albo milczeli albo rzecz odkładali na później. Rzecz ciekawa, ta postawa charakteryzowała w równym stopniu ekipy stemplowane przez lewicę i prawicę. Wreszcie zapadła decyzja o wprowadzeniu propedeutyki jako przedmiotu

opcjonalnego, ale z możliwością zdawania go na maturze, dokładniej w ramach tzw. nowej matury, od 2005 r. Ale i to zostało przesunięte na święty nigdy. Ostatnio „Gazeta Wyborcza” zajęła się problemem i proklamowała akcję „Filozofia w szkole”. Stało się tak po artykule Jana Hartmana, jeszcze jednym wezwaniu do przywrócenia propedeutyki filozofii. Ponoć min. Łybacka zapowiedziała, że filozofię będzie można zdawać na maturze od 2006 r. Wszelako można odnieść wrażenie, iż ministerstwo znowu kręci. Zapowiada przygotowanie podstawy programowej i wymagań maturalnych. To znaczy, że ich nie ma. Na jakiej więc zasadzie zapowiadano możliwość egzaminu maturalnego z filozofii już w 2005 r.?

Niestety akcja „GW” była dość rachityczna. Kilka zdawkowych wypowiedzi znaczących filozofów, jeden wywiad z dyrektorką szkoły, a także trochę opinii nadesłanych drogą internetową. Żadnej informacji o postulatach całego środowiska, ale przypisywanie sobie pomysłu i ewentualnej zasługi. Wszystko gdzieś głęboko ukryte w dodatku na tematy edukacyjne. Wypowiedzi prominentów filozoficznych szybko znikły z Internetu. Opinie były różne, ale w większości zdecydowanie pozytywne. W tym kontekście zacytowana niżej wypowiedź Ireny Dzierzgowskiej, byłej wiceminister edukacji, jest naprawdę kuriozalna. Oto co miała do powiedzenia:

To dobry pomysł [chodzi o zapowiedź włączenia propedeutyki do matury w 2006 r. – JW], który – nie wiadomo dlaczego – został odrzucony. Nie można jednak zakładać powszechnego nauczania filozofii w szkołach, żeby nie tworzyć fikcji. Filozofia powinna wrócić do tych szkół, gdzie dyrektorzy mają wizję jej nauczania, mają dobrego nauczyciela i uczniów, którzy chcą na filozofię chodzić.

Ciekawe, czy tego rodzaju projekt ma dotyczyć także innych przedmiotów? Jak sprawdzić, czy filozofii można powszechnie uczyć, o ile tego nie spróbuje się? Wypowiedź ta najlepiej świadczy, jakie są konsekwencje braku nauczania zasad porządnego myślenia i formułowania opinii.

A fakty są takie. Olimpiady filozoficzne, a więc z przedmiotu nieobecnego w nauczaniu gromadziły corocznie około 2000 uczestników, o połowę mniej niż

olimpiady polonistyczne, najbardziej popularne. To wynik imponujący. Wśród laureatów były prawdziwe perły, np. uczeń, który z pamięci cytował Platona po grecku. Polacy systematycznie zajmowali czołowe miejsca w międzynarodowych olimpiadach filozoficznych. Wszelako to zmienia się, właśnie z powodu antyfilozoficznej polityki ministerstwa. Akcja „GW” trafia zresztą kulą w płot. Od lat środowisko filozoficzne domaga się wprowadzenia propedeutyki jako przedmiotu powszechnie nauczanego, niekoniecznie zresztą maturalnego. Uważamy bowiem, że elementy wykształcenia filozoficznego są niezbędne dla należytego rozumienia świata. Nie my jedni, bo filozofii uczy się w szkołach średnich w większości krajów europejskich. Jesteśmy więc jednym z niezbyt chlubnych wyjątków w Europie. Gra idzie w rzeczywistości o stawkę poważną. Badania pedagogów nad poziomem wykształcenia polskich licealistów są dość alarmujące, zwłaszcza w zakresie rozumienia tekstu i sprawności dedukcyjnych. W ogólności, polska młodzież charakteryzuje się niskim stopniem plastyczności w przystosowywaniu się do nowych sytuacji. Filozofia jest m.in. gimnastyką umysłu. Nie tylko zaspokaja potrzeby intelektu i tęsknoty metafizyczne, ale uczy jak adaptować się do świata. To dlatego absolwenci filozofii są cenieni przez pracodawców. To, że zlikwidowano propedeutykę filozofii w czasach komunistycznych jest zrozumiałe. Obawiano się konfrontacji marksizmu z inną myślą. Jest rzeczą ciekawą, czego obawiają się obecni decydenci. Warto by poznać odpowiedź.

Twardowski bardzo zwracał uwagę na rolę filozofii w życiu publicznym. Droga ku uczynieniu z filozofii istotnego elementu świadomości ogółu wykształconych Polaków (na poziomie średnim) była edukacja filozoficzna w szkołach oraz popularyzacja filozofii poprzez wykłady otwarte i stosowne wydawnictwa. Nie chciałbym przy tym sugerować, że szeroko rozumiana rola filozofii w życiu publicznym była przedmiotem troski wyłącznie Twardowskiego czy też kręgu skupionego wokół niego. Można powiedzieć, że całe polskie środowisko filozoficzne miało to na uwadze. Świadczą o tym publikacje towarzystw filozoficznych, specjalne cykle wykładów popularnych, tematyka odczytów na posiedzeniach naukowych czy istnienie specjalnych sekcji nauczania

filozofii w szkołach średnich. W ogólności, można powiedzieć, że pozycja filozofii w Polsce międzywojennej była poważna. Przy wszelkich trudnościach udało się zorganizować trzy ogólnopolskie kongresy filozoficzne w przeciągu 21 lat. Propedeutyka filozofii była powszechnie nauczana w szkołach średnich. Podręczniki do tego przedmiotu, pióra Ajdukiewicza, Czeżowskiego, Gaweckiego czy Lelesz wskazują na wysoki poziom propedeutycznej edukacji filozoficznej, a także świadczą o tym, że czołowi polscy filozofowie nie unikali dydaktyki filozoficznej na poziomie przeduniwersyteckim; wielu zresztą (np. Dąmbska, Ingarden, Kotarbiński, Zawirski) zaczynało kariery od pracy w gimnazjach (liceach). Broszury opublikowane w ramach „Licealnej Biblioteczki Filozoficznej” (wydawanej we Lwowie) czy książka Dąmbskiej *Filozofia grecka do Platona* (specjalnie napisana dla Biblioteki Filomaty) świadczą o zapotrzebowaniu uczniów na zaawansowaną problematykę z zakresu filozofii teoretycznej i praktycznej. Trudno dzisiaj ocenić, na ile filozofia była obecna w środkach masowego przekazu. Nikt nie prowadził w tej sprawie badań socjologicznych. Mogę tylko powiedzieć, że w antykwarycznych książkach filozoficznych można do dzisiaj znaleźć sporo wycinków z prasy codziennej poświęconych filozofii, zaś bibliografie filozofów zawierają wiele publikacji prasowych czy wypowiedzi radiowych.

Zdaję sobie sprawę, że poruszyłem tylko niektóre zagadnienia. Być może zostaną one uznane za mało ważne albo też sposób ich przedstawienia zostanie potraktowany jako zbyt powierzchowny, w szczególności, jako nie oparty na jakiejś ogólniejszej wizji kulturowej. W moim głębokim przekonaniu, antyfilozoficzny szatan tkwi w szczegółach. Nie za wszystkie jesteśmy odpowiedzialni, ale za niektóre tak.

Kondycja filozofii polskiej: dawniej i teraz

Uwagi pierwsze o uwagach Prof. Woleńskiego

Jacek J. Jadacki

Wstęp

Nie jest tajemnicą, że w boju o filozofię polską ani Prof. Woleński, ani *ja* nie jesteśmy statystami, i że jesteśmy po tej samej stronie «barykady». Chciałbym jednak, żeby uczestnicy tego boju – po obu stronach wspomnianej «barykady» – mieli świadomość tego, że w niektórych (i to wcale niebłahych) sprawach mamy albo inne poglądy, albo wyrażamy się tak, że ktoś mógłby pomyśleć, że mamy inne.

W części pierwszej swoich „uwag pierwszych” ograniczę się wyłącznie do tych spraw, które nas różnią lub co do których można pomyśleć, że nas różnią. W części drugiej – dodam kilka własnych uwag związanych z tytułowym tematem dyskusji.

I

1. „Ocena stanu badań filozoficznych w Polsce” – sformułowana lakonicznie przez Prof. Woleńskiego – zgodnie z którą „jest on na ogół taki sam jak gdzie indziej, ani lepszy, ani gorszy”, *mnie* nie zadowala, jako nieprecyzyjna i nie uargumentowana. Ocena ta jest nieprecyzyjna, gdyż nie wiadomo, co tu jest obiektem odniesienia i o jaki aspekt porównywanych badań chodzi: są przecież bardzo różne «gdzie indziej» i różne «lepszości». Jest zaś nie uargumentowana, gdyż zgodnie ze standardami uzasadniania, które skądinąd dzielimy z prof. Woleńskim, takie sprecyzowane «gdzie indziej» (np. stan badań filozoficznych na

2. Węgrzech lub w Chinach) musiałyby być dopiero gruntownie przebadane pod kątem takiej czy innej «lepszości».

3. Prof. Woleński co prawda wymienia kryterium filozoficznej lepszości danego „miejsca na świecie”: ma to być mianowicie pojawienie się tam „idei, które wstrząsnęły filozoficznym światem”. Obaj jednak wiemy, że nie jest to kryterium operacyjne, a więc w istocie nie jest to *żadne* kryterium. Ponieważ skądinąd znamy się z Prof. Woleńskim od lat, mogę domniemywać, że miał w tym wypadku na myśli prace, na które powołują się odpowiednio liczne grona dyskutantów w tzw. czołowych ośrodkach filozoficznych angielskiego obszaru językowego. Gdybym miał rację, to różniłbym się w punkcie wyjścia od Prof. Woleńskiego – zasadniczo. *Ja* nie akceptuję takiego kryterium. Zaryzykowałbym nawet hipotezę «odwrotną»: że tak rozumiane „wstrząsające” idee są niewiele warte. *Ja* cenię rozwiązania, o których **nie ma co dyskutować**: rozwiązania jednoznaczne i trafne.

4. Z powodów podanych *sub* (2) nie akceptuję też kryterium „staromodności” przy ocenie badań filozoficznych (Prof. Woleński krytykuje za staromodność przed-Brentanowskich filozofów austriackich). Nie interesuje mnie, czy jakaś koncepcja filozoficzna jest modna, czy nie: interesuje mnie wyłącznie, czy jest zadowalająco uzasadniona.

5. Jestem ostatnią osobą, która podważałaby zasługi Kazimierza Twardowskiego dla rozwoju filozofii polskiej. Nie mogę się jednak zgodzić z Prof. Woleńskim, że Twardowski w Polsce „musiał zaczynać od nowa”. Prostowałem ten mylny pogląd kilkakrotnie – jak się okazuje bez sukcesu. Niestety znajomość własnej tradycji filozoficznej jest naszą piętą achillesową: na ogół znamy ją wybiórczo lub nie znamy jej w ogóle. Nawet wielki Twardowski nie był tu wyjątkiem.

6. Dostrzegam w uwagach Prof. Woleńskiego pewne wahanie, które *mnie* jest obce. Z jednej strony – opisując np. sytuację Twardowskiego – Prof. Woleński podkreśla, że Twardowskiemu chodziło o filozofię „uniwersalną”, bez „kolorytu

narodowego”. Z drugiej jednak strony – prof. Woleński pisze o zagrożeniach jednostronnego „wpływu jednej z orientacji” filozofii światowej (sprowadźmy rzecz na ziemię: angielskiej, francuskiej lub niemieckiej). Swoją książkę dotyczącą fragmentów historii filozofii polskiej zatytułowałem *Orientacje i doktryny*, bo jako historyk filozofii nie mogę ignorować faktu istnienia filozofii – powiedzmy (w braku lepszego terminu) – literackiej, a w jej obrębie (jak w literaturze i sztuce) *orientacje i doktryny* są jak najbardziej na miejscu. Tu – choć zabrzmiałoby to może zaskakująco – zabieram głos jako filozof a nie historyk filozofii, jako zaś filozof (powiedzmy – analityczny) przyjmuję do wiadomości tylko filozofię „uniwersalną”. W jej obrębie „koloryt narodowy” jest bez znaczenia.

7. Ostatnie zdanie z punktu (5) wymaga zastrzeżenia. Jeśli w obrębie filozofii zgodzimy się umieścić doktryny (*resp.* kodeksy) etyczne – lub ogólniej: aksjologiczne – to taki „koloryt narodowy” rzecz jasna już nabiera znaczenia. Nie ulega wątpliwości, że w Polsce na tak rozumiany „koloryt narodowy” wywarł potężne piętno katolicyzm. Ignorowanie tego faktu dyskwalifikowałoby oczywiście historyka filozofii. Jak karykaturalne skutki przynieść w takich wypadkach mogą uprzedzenia światopoglądowe – świadczą np. prace Henryka Struvego (protestanta) na temat historii filozofii polskiej. (Szkoda, że jego ogólną wizję okresów dobrych i złych podziela Prof. Woleński – w sytuacji, kiedy np. dziesiątki polskich prac filozoficznych z XVII i XVIII wieku leżących w bibliotekach wileńskich piszący te słowa miał w ręku jako pierwszy i na razie ostatni od czasu, kiedy je na początku XX wieku katalogował Władysław Tatarkiewicz.) Dedykuję tę uwagę *wszystkim*, którzy cierpią na ideologiczne uczulenie. (Czy nie działają tu toksyny heglowskiego ukąszenia?)

8. Inaczej niż Prof. Woleński – nie sędzę, żeby prace filozoficzne Stanisława Ignacego Witkiewicza warte były tego, aby je „świat docenił”. Może to i *ładna* literatura (tu pozwolę sobie na wyrażenie mego gustu literackiego: *mnie* ta literatura nie zachwyca), ale gdyby do tych prac przykładać miarę Jana Łukasiewicza (a to jest *moja* miara), to ich wartość jest – żadna.

9. Niestety nie mogę się też zgodzić z opinią Prof. Woleńskiego – choć bardzo bym chciał się z nią zgodzić – że „świat nie uznaje lipy, przynajmniej na dłuższą metę”. A skłania mnie do tego wyrywkowa z konieczności – choć już kilkudziesięcioletnia – obserwacja tych niekończących się konferencyjnych dyskusji o niczym (*także* w bliskiej mi skądinąd «ideowo» filozofii anglosaskiej), tych powtarzanych w tysiącach monografi i dziesiątkach encyklopedii «światowych» (kto nie zna języków obcych, może sobie tego «posmakować» do woli w zalewających nasz rynek przekładach) nie mających nic wspólnego z krytycyzmem prezentacji i ocen.

10. Wbrew Prof. Woleńskiemu – jestem zdania, że to jednak „administracyjna dominacja jednej tylko filozofii” w Polsce komunistycznej była głównym powodem regresu w „filozofii systematycznej”. Podobnie jak Prof. Woleński mam osobiste kontakty międzynarodowe (i organizację konferencji międzynarodowych w Polsce) za istotny czynnik przy – mówiąc językiem Romana Ingardena – *oddawaniu sprawiedliwości* rezultatom filozofii polskiej na światowym «rynku filozoficznym». Inaczej zaś (zdaje się) niż Prof. Woleński – nie dostrzegam ich istotnego znaczenia dla osiągania samych tych *rezultatów*. To nie dlatego Kazimierz Ajdukiewicz i inni przedstawiciele Szkoły Lwowsko-Warszawskiej (Prof. Woleński pisze stale imię tej szkoły małą literą; to jedna z drobnych różnic między nami) nie odegrali należnej im roli w filozofii powojennej, że nie mogli jeździć na międzynarodowe konferencje – tylko dlatego, że nie mogli swobodnie *uczyć* porządnej filozofii i *przeciwstawić się* fali irracjonalnej ideologii, zalewającej umysły młodzieży filozoficznej.

11. Obecność filozofów w PAN uważam za rzecz drugorzędną. W 1989 roku należałem do zwolenników rozwiązania PAN lub przekształcenia jej w Uniwersytet im. Stanisława Staszica. Zwyciężyła koncepcja przetrwania, ale moim zdaniem jest ona na dłuższą metę nie do utrzymania. Jestem członkiem filozoficznej «przybudówki» PAN: Komitetu Nauk Filozoficznych. Wielu kolegów

z KNF było i jest pełnych dobrej woli, żeby zrobić w tej strukturze co się da pożytecznego dla filozofii, ale na przeszkodzie stoi *wadliwa struktura organizacyjno-kompetencyjna* komitetu. W jeszcze większym stopniu dotyczy to samego PAN.

12. Inaczej niż Prof. Woleński oceniam sprawę propedeutyki filozofii w szkole. Nawiasem mówiąc, kiedy w czasach tzw. *I Solidarności* przygotowałem projekt odpowiedniego programu i skłoniłem do jego poparcia odpowiednią komisję KK – niektórzy, skądinąd zasłużeni politycznie koledzy-filozofowie, publicznie zarzucili mi, że chcę wprowadzić do szkoły... jedynie słuszną filozofię, z wyraźną, a dezawuuującą wtedy całkowicie aluzją do «filozofii naukowej» w rozumieniu komunistycznym. Potem szczątki tego programu, sygnowanego początkowo moim imieniem i nazwiskiem, plątały się po kolejnych nie-wdrażanych programach, sygnowanych już innymi imionami i nazwiskami. Wreszcie zwyciężyła idea nie „wykształcenia filozoficznego”, lecz tzw. filozofii autorskiej (to prawie to samo, co filozofia... amatorska).

Otóż dziś stoję na stanowisku, że w ramach obecnego programu szkolnego nie ma po prostu miejsca na propedeutykę filozofii rozumianą jako „gimnastyka umysłu”. Może to Prof. Woleńskiego zabołec, ale cytowaną wypowiedź „byłej wiceminister edukacji” uważam nie za kuriozalną, lecz za realistyczną. *Ja* wiem, ile czasu powinien poświęcić na naukę *istniejących* już przedmiotów uczeń, który by chciał *serio* potraktować obecne oczekiwania programowe.

Żeby nie było wątpliwości: ideę olimpiad filozoficznych uważam za bardzo cenną – i wspieram ją w marę możliwości na różne sposoby.

13. Trzy sprostowania (łączy mnie z Prof. Woleńskim *wiara* w szatana i w to, że „antyfilozoficzny szatan tkwi w szczegółach”).

(a) Paul Natorp zasugerował Tatarkiewiczowi, aby w rozprawie doktorskiej zająć się Arystotelesem, nie dlatego, że „sądził, że w Polsce Arystotelesem nie zajmowano się”, lecz dlatego, że wiedział trzy rzeczy: że Polska jest krajem katolickim, że katolicy – z inspiracji papieskiej – wracają do swoich tomistycznych «źródeł», i że bazą tomizmu jest arystotelizm.

(b) Seria *Polish Analytical Philosophy* (której jestem współinicjatorem) została otwarta i ukazało się kilka tomów; grantu nie przyznano na jej *kontynuację*. (Nie muszę dodawać, że podzielam pogląd Prof. Woleńskiego, że złe to wystawia świadectwo tym, którzy tak zadecydowali.)

(c) Niestety podręczniki Ajdukiewicza, Czeżowskiego, Gaweckiego i Lelesz *nie* świadczą o „wysokim poziomie propedeutycznej edukacji filozoficznej” w „Polsce międzywojennej”. Pierwsze wydania tych podręczników ukazały się bowiem w 1938 roku i zostały wprowadzone do szkół dopiero od roku 1938/1939.

II

13. Jeśli wyznacznikiem obecnej „kondycji filozofii w Polsce” miałby być potencjał intelektualny filozofów, to oceniam tę kondycję wysoko. Jeszcze wyżej oceniam z tego punktu widzenia *przyszłość* filozofii w Polsce: spotkałem na swojej drodze pedagogicznej bardzo dużo talentów filozoficznych – o wiele więcej niż w moim pokoleniu. Nie mam oczywiście złudzeń, że to jest jedyny wyznacznik tej kondycji. Za jeden z istotnych wyznaczników uważam np. ramy organizacyjne nauki polskiej. Tu niestety mam wiele zastrzeżeń – w tym także zastrzeżeń bardzo poważnych.

14. Filozofowie – jak wszyscy dziś na ogół – muszą gdzieś pracować, żeby z czegoś żyć. Główne miejsce pracy filozofów – to uczelnie wyższe. Nie są one strukturalnie nastawione na wchłanianie młodych utalentowanych badaczy.

System swego rodzaju *czynownictwa* – niepotrzebnie moim zdaniem rozdętej hierarchii stopni i stanowisk – sprawia, że uwagę już zatrudnionych filozofów zaprzęta *liczba* publikacji, a nie rozwiązywanie rzeczywistych problemów badawczych, które na liczbę publikacji rzadko daje się «przełożyć». (Mogę «bezkarne» wyrazić swoją opinię w tych sprawach, bo osiągnąłem już szczyt hierarchii akademickiej, a liczba moich publikacji zbliża się do granicy grafomaństwa naukowego, a niektórzy uważają, że już dawno ją przekroczyła.)

Odpowiednia bowiem liczba publikacji odpowiedniej kategorii¹ (i parę innych nieistotnych dla nauki czynników) wystarcza do tego, żeby ktoś, kto raz wskoczy do pociągu «kariera akademicka» spokojnie dojechał nim – prędzej czy później – do przystanku «profesor tytularny». Demokratycznie zapewnią mu to «koledzy z pracy».

15. Z kolei gorset administracyjny nałożony na uczelnie prywatne (przez określenie *liczby* samodzielnych pracowników na tzw. pierwszym etacie niezbędnej do prowadzenia odpowiednich studiów) sprawia, że muszą się one chwycić różnych sztuczek prawnych, żeby temu gorsetowi sprostać. W ten sposób, żeby zatrudnić np. kilku świetnych doktorów filozofii, muszą zatrudnić przedtem kilku – powiedzmy – *nie*-świetnych profesorów filozofii (najlepiej emerytowanych...).

16. Poza tym liczba szczebli w hierarchii akademickiej sprawia, że *racjonalne* jest nie narażać się krytyką ewentualnym recenzentom. (Szaleństwo opiniowania – a dokładniej *pseudo*-opiniowania – ogarnęło zresztą nie tylko Rzeczpospolitą filozoficzną.) Liczba zaś potencjalnych *pseudo*-recenzentów jest tak duża, że nawet największe głupstwo znajdzie usłużną legitymizację.

17. Innym źródłem finansowania filozofów są subwencje państwowe. Miałem zaszczyt kierować kiedyś krótko tą częścią (morderczej) pracy KBN, która dotyczyła podziału subwencji dla filozofów. Zrozumiałem wtedy, że z prawie takim samym skutkiem (a bez zbędnych kosztów) można by te subwencje między aplikantów rozłusować. Część subwencji przeznaczona jest wprost na publikacje filozoficzne. Sprawia to – wraz z różnymi innymi uregulowaniami prawnymi – że w Polsce nie ma właściwie rynku wydawniczego: wydawców – poza jakimiś sztucznie wykreowanymi *bestsellerami* – wcale nie interesuje dotarcie do

¹ Piszę o „publikacji odpowiedniej kategorii”, bo śmieszą mnie ci, którzy wylewają krokodyle łzy nad tym, że mało kto publikuje u nas recenzje. Kto przy zdrowych zmysłach będzie pisał recenzje – lub sygnował cokolwiek jako recenzję - skoro to w «punktacji» się prawie nie liczy?

czytelników, bo oficyny mogą trochę zarobić już na samych subwencjach: bez uciążliwej sprzedaży wydrukowanych publikacji. To jest także jeden z powodów tego, że «nikt» nas (tubylców) w Polsce nie czyta. (Często nawet rzekomi recenzenci...) Za co to robić i po co?

Widział ktoś rozprawę doktorską z historii filozofii polskiej poświęconą Prof. Woleńskiemu?

18. Skoro mowa o publikacjach – to słowo o przekładach: nie o ich poziomie językowym (lepiej o nim milczeć), lecz o mechanizmie finansowym z nimi związanym. Otóż zalew tłumaczeń (nawet słowników i encyklopedii!) bierze się m.in. stąd, że tłumacze na przekładach mogą po prostu zarobić – w przeciwieństwie do autorów, którzy do *własnych* publikacji na ogół dopłacają. A oficyny, które byłyby – wbrew temu, co opisałem *sub* (17) – zainteresowane nie tylko w wydaniu, ale i w sprzedaży książek filozoficznych, dobrze wiedzą, że stempel „z Zachodu” bardzo ułatwia taką sprzedaż.

19. Już te przykłady pokazują, jak ważna jest dla „kondycji filozofii w Polsce” *polityka wewnętrzna* Państwa. Niestety na tę ostatnią większość z nas ma wpływ rzadko (głównie z okazji wyborów) i bez żadnych gwarancji egzekucji. Ale może to i dobrze: jedyny znany przykład – jak to określił Tatarkiewicz – „unii filozofii z polityką” (zob. *Historia filozofii*, t. III, PWN, Warszawa 1968, s. 272) nie skłania raczej do tego, aby do takiej unii wzdychać.

Podobnie jak Prof. Woleński „zdaję sobie sprawę, że poruszyłem tylko niektóre zagadnienia”. Nie znaczy to, że tylko w tych kwestiach mam wyrobione zdanie. Mam jednak świadomość tego, że cierpliwość Szanownych Obserwatorów naszej dyskusji też ma granice...

Kondycja filozofii w Polsce a obyczajowość i polityka

Adam Grobler

Pozycja międzynarodowa polskiej filozofii

Dwa lata temu na kongresie na temat wyjaśniania i przyczynowości w Gandawie byłem świadkiem zdumiewającego zdarzenia. Jako jeden z nielicznych słuchaczy wysłuchałem całkiem sensownego referatu sekcyjnego pewnego Holendra. Po jego zakończeniu sala nagle wypełniła się tłumem wszystkich zaproszonych referentów najwyraźniej ciekawych referatu niejakej Alicji z Anglii. Tytuł i abstrakt był mało zachęcający, ale w tych niezwykłych okolicznościach przyrody postanowiłem chwilowo nie zmieniać sekcji. Alicja z wielką swadą skonstruowała dwa idiotyczne stanowiska, które następnie triumfalnie obaliła. Gdy skończyła, pewien wielki filozof z Kalifornii przyznał, że jej teza jest z gruntu słuszna, z powodów bardziej bezpośrednich, acz przez nią nie wymienionych. Gdybym powiedział coś w tym stylu studentce na moim seminarium, przypuszczalnie wpadłaby pod stół ze wstydu i przez miesiąc starannie by mnie unikała. Tymczasem Alicja najwyraźniej wzięła uwagę Johna za komplement, a pozostałe anglo-australo-amerykańskie wielkości z powagą dyskutowały jeszcze kilkanaście minut. Mało tego, następnego dnia inny zaproszony gość z Cambridge UK w referacie plenarnym zacytował Alicję. Spieszę dodać, że zainteresowanie uczonych mężów Alicją nie miało, jak na mój gust, źródeł, że tak powiem, pospolicie zrozumiących. Jedynym wyjaśnieniem incydentu jest anglojęzyczny szowinizm.

Powszechnie w krajach anglojęzycznych promocyjne praktyki częstego cytowania czy promowania w innej formie kolegów, w tym kolegów młodszych i bardzo młodych, w Polsce rzadko są stosowane (do chlubnych wyjątków zaliczam m.in. trzy osoby o nazwiskach zaczynających się na W oraz JJJ). Częściej można spotkać przypadki wypychania się przed szereg krajowych kolegów w nadziei, że

będzie się lepiej zauważalnym zagranicą. Przykładem może być wspomniana przez Jana Woleńskiego postawa – trudno ją wytłumaczyć inaczej – Urszuli Żegleń w sprawie tomu na temat Davidsona. Tymczasem postawa opartego na merytorycznych podstawach, promocyjnego kumoterstwa jest w konkurencji międzynarodowej o wiele bardziej skuteczna. Grupę łatwiej dostrzec z oddali.

Sukcesy zagraniczne nie przekładają się na odpowiednie uznanie w kraju. Np. pozycja społeczna Tomasza Placka w macierzystym UJ w znikomym stopniu odzwierciedla jego międzynarodową reputację, a jego wybitny uczeń, Jacek Cachro, po zrobieniu doktoratu prawdopodobnie będzie miał ogromne trudności w znalezieniu zatrudnienia na uniwersytecie w Polsce. Tego bowiem należy się spodziewać przy obecnej polityce rządu i Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, zmierzającej do eksterminacji klasy pomocniczych pracowników nauki. Jeszcze mniejsze szanse na polskim, akademickim rynku pracy mają powracający do kraju po kilku lub kilkunastoletniej nieobecności, stypendyści i czasowi emigranci, doktorzy uniwersytetów Monash czy Harvarda. Obowiązują bowiem u nas niepisane zasady preferencji własnych absolwentów, ochrony przeterminowanych adiunktów i forsowania miejscowego chowu słabych habilitacji. W tej atmosferze zaścianka mój ulubiony kolega o pomysłach w najlepszym światowym gatunku od lat konsekwentnie odmawia napisania artykułu po angielsku. Nie ma motywacji. Miejscowy porządek dziobania rządzi się prawami gospodarki autarkicznej.

Przez „miejscowy” nie mam bynajmniej na myśli akurat UJ, choć przytoczone przykłady mogłyby to sugerować. Gdzie indziej pod tym względem bywa znacznie gorzej. Rektorzy wielu polskich uczelni stosują finansowe naciski w kierunku publikowania w lokalnych wydawnictwach uczelnianych a sami pracownicy często nie podejmują żadnych prób wychylenia pióra poza własne środowisko. Niekiedy nawet aktywnie i pracowicie tworzą własne getta pisarskie.

Sprzyja temu niestety przyjęty przez KBN system oceny parametrycznej jednostek. Artykuły w uniwersyteckich zbiorówkach są wprawdzie niżej punktowane od artykułów w wyróżnionych czasopismach, ale za to nie podlegają selekcji w ogólnopolskiej konkurencji. Artykuły zagraniczne są punktowane wyżej, ale nie na tyle, by zrekompensować zwiększony nakład pracy i podwyższone

ryzyko odrzucenia tekstu. Mimo wszystkie przeszkody Kazimierz Twardowski ma naśladowców jego polityki edukacyjnej. Należy do nich Jacek Jadacki, który wykształcił kilku wspaniałych uczniów, przyszłych gwiazd międzynarodowych, m.in. Joannę Odrowąż-Sypniewską, dwojga nazwisk i dwojga doktoratów (UW i St. Andrews) czy Tomasza Bigaję (czy wróci z USA?). Innym przykładem jest Andrzej Wiśniewski, który dostąpił zaszczytu opiekowania się młodzieńką (1 rok przyspieszonych o rok studiów doktoranckich UZ), niezwykle utalentowaną Dorotą Leszczyńską, znaną na razie bardziej logikom belgijskim niż polskim. Za to starszy uczeń Wiśniewskiego, Mariusz Urbański, znany jest już również w Polsce. Jest też kilku młodych ludzi o pewnym rozgłosie zagranicznym, wykształconych głównie dzięki własnej ruchliwości, np. Katarzyna Paprzycka (SWPS) czy Artur Koterski (UMCS). Toteż szykuje się zmiana pokoleniowa zdolna obecną zaściankowość przełamać.

Pozycja społeczna filozofii jako dyscypliny

Jest marna, to fakt. O ile w Wielkiej Brytanii filozofia jest bardzo popularnym kierunkiem studiów, to w Polsce ma ona zdumiewająco małe wzięcie. Namawiając w czasie „dni otwartych” kandydatów na studia często słyszałem od nich i ich rodziców słowa w stylu: „Filozofia? No nie. Szukamy czegoś konkretnego. Np. wychowanie przedszkolne”. Panuje stereotyp, że studia filozoficzne nie dają żadnej pracy (jak gdyby studia medyczne lub prawnicze ją gwarantowały). Niestety, przełamaniu tego stereotypu nie służą publikacje w stylu artykułu Bohdana Chwedeńczuka w „Życiu” (jakiś rok czy dwa lata temu), w którym stało, że filozofia, nawet analityczna, służy tylko do mącenia w głowach młodzieży. Autor zapomniał dodać, że taki cel najlepiej realizuje filozofia analityczna w jego przekładach. Jakość większości przekładów filozoficznych jest kolejnym czynnikiem utrwalającym negatywny stereotyp społeczny filozofii. Jest to jednak temat obszerny, wart osobnej dyskusji. W każdym razie środowisko filozoficzne w znacznej mierze samo jest winne upowszechnieniu tego stereotypu. Nie jest wolny od winy nawet sam Leszek Kołakowski, który w wielu tekstach

poszukuje usprawiedliwień dla uprawiania filozofii sugerując tym samym publice, że nasz fach jest cokolwiek wstydlivy.

Filozofia w szkole

Jasne jest, że wprowadzenie filozofii do szkół byłoby rzeczą pożądaną. Byłoby – w innych warunkach obyczajowo-politycznych. Obecnie nie ma co liczyć na to, że absolwenci studiów filozoficznych znajdą zatrudnienie w szkole. W sytuacji niżu demograficznego, zmuszającego dyrektorów szkół do zwolnień, naturalnym odruchem obronnym będą oni zlecać lekcje filozofii polonistom i historykom w wieku przedemerytalnym. I ta działalność zapewne będzie miała znamiona mącenia w głowach młodzieży. Moje dzieci chodziły do dobrych, krakowskich liceów. I od polonistów dobrych, krakowskich liceów odbierały – w ramach lekcji polskiego – nauki filozoficzne, które Platona przedstawiały jako pisarza w stylu *science-fiction* a św. Augustyna jako konsekwentnego manichejczyka. Co może się dziać w gorszych liceach?

Myślę więc, że politycznie bardziej odpowiednim momentem do wprowadzania filozofii do szkół jest początek kolejnej fali wyżu demograficznego, który z natury rzeczy musi kiedyś nastąpić. Wtedy szkoły będą zwiększać zatrudnienie i znajdzie się w nich miejsce dla fachowych nauczycieli filozofii.

Krajowy rynek filozofii

Romana Kolarzowa

Wstęp

Prof. Woleński dostatecznie jasno przedstawił i nader skromne miejsce filozofii polskiej w świecie, i wybrane „zasługi” środowiska dla takiego stanu rzeczy. Chciałabym kilka uwag poświęcić – także sygnalizowanemu – miejscu filozofii na „rynku krajowym”. Nie jest to bowiem sprawa wyłącznie wewnętrzna; lokalny sposób postrzegania jakiegoś zjawiska (w tym dyscypliny naukowej) wpływa mocno na to, jak owo zjawisko jest promowane – i czy w ogóle promocji podlega. Nie chwalimy się przecież tym, co skłonni jesteśmy uważać za mało znaczące lub zgoła kłopotliwe.

14. Polskie nastawienie do filozofii jest specyficzne. Warto zwrócić uwagę, że w codziennej polszczyźnie *filozof* i *filozofowanie* to nie są określenia pełne uznania. *Filozofować* to tyle, co *wymądrzać się*, *rezonować*. Dociekliwy lub skłonny do wyrażania własnego zdania uczeń ma wszelkie szanse, aby właśnie w szkole usłyszeć *nie filozofuj*, *nie bądź takim filozofem*. Dorosły, nie wyleczony z tych skłonności, tyleż samo usłyszy w swoim środowisku. *Filozofia* jest – w tym rozumieniu – zajęciem niestosownym i niebezpiecznym, sprowadzającym kłopoty. Nie jest to intuicja całkiem chybiona – rzeczywiście, trudno wyobrazić sobie *filozofowanie* bez zadawania pytań i kwestionowania zastanych rozstrzygnięć. A to w polskim modelu edukacji jest postrzegane jako niewłaściwe, wręcz niepedagogiczne: uczeń ma być „grzeczny i posłuszny”. Nie inaczej w życiu społecznym. Jest więc całkiem zrozumiałe, że wszyscy, którym zależy na utrzymaniu tego wzorca wychowawczo-społecznego, będą z najwyższą nieufnością traktować to, co – bodaj potencjalnie – może go naruszyć.

15. Odrębną sprawą, gruntującą obecną w polskiej kulturze podejrzliwość wobec *filozofii*, jest sposób widzenia jej już wyłącznie w charakterze dyscypliny akademickiej. Ten zaś jest skutkiem doświadczeń, jakie wiążą z tym przedmiotem ci, co zetknęli się z nim na studiach. Przykro mi; dla znakomitej części absolwentów wyższych uczelni *filozofia* kojarzy się niemiło: jako przedmiot niezrozumiały, nieciekawym, nieprzyjemny i psujący średnią. Trudno spodziewać się, że absolwenci z takimi skojarzeniami, już w randze urzędników ministerialnych, wykażą się zapałem do instalowania w liceach tego, co było dostatecznie niemiłe na studiach.

Daleka jestem od nie rozumienia tych wstrętów. Przeciwnie – jest dla mnie niepojęte, dlaczego na tzw. usługówkach stanem chronicznym są marne wyniki egzaminów z filozofii. Nie jest to przecież przedmiot, który byłby koszmarem licealistów np. francuskich. Jak więc jest to możliwe, aby w Polsce, na kierunkach nieraz elitarnych, wyselekcjonowani słuchacze nie mogli opanować go na więcej niż miernie? Jedno z trojga – albo polska młodzież jest mało inteligentna, albo niewiele jest wart system rekrutacji na studia, albo szkodzi dydaktyka przedmiotu. Niejakie doświadczenie wskazuje na mankamenty dydaktyki właśnie; nie radziłabym dłużej ignorować reputacji, jaką wśród słuchaczy studiów nefilozoficznych mają jego wykładowcy, a przez ich rozliczne dokonania – i sam przedmiot. Co roku otrzymują dyplomy ludzie gruntownie do filozofii zniechęceni; czy będą pracować w mediach, czy w ministerstwie edukacji, nie należy po nich oczekiwać życzliwości dla nielubianego przedmiotu i dla środowiska, które widzą na obraz i podobieństwo swoich „państwa od filozofii”.

16. Lekceważenie dydaktyki akademickiej – bo niezależnie, co się o tym mówi od wielkiego dzwonu, mało kto poczuwa się do bycia nauczycielem, a stanowczo zbyt wielu ma troskę nauczycielską za niegodną „prawdziwego naukowca” – każe bardzo ostrożnie podchodzić do szczepienia filozofii w szkołach średnich. Jestem wprawdzie entuzjastką porządnego kształcenia licealnego, a więc takiego, które daje rzetelne podstawy do samodzielnego „znajdowania się” w dziedzictwie kulturowym i we współczesności, ale nie mam złudzeń, że takie kształcenie

dopiero się kluje. Nie bezboleśnie. Mam poważne obawy, że w takim systemie oświatowym jaki jest, propedeutyka filozofii zostałaby zmasakrowana nie gorzej, niż trafia się to akademickim kursom filozofii. Pewne pojęcie o tym, co tu *jeszcze* by można, dają podręczniki do tzw. przedmiotów kontrowersyjnych. Zaangażowana kiedyś w pomysł licealnego kursu wiedzy o religiach, musiałam - po zapoznaniu się z odnośnymi „pomocami dydaktycznymi” – zmienić zdanie.

17. To nadal nie wszystko. Uczymy filozofii na studiach, czego skutki bywają zaskakujące. Pocieszamy się – marnie i fałszywie – że „student to bestia leniwa”, że spraw złożonych wyłożyć się klarownie nie da, a im mętniej, tym głębiej; i bywamy tym dumniejsi, im gorsze mamy wyniki nauczania! I starannie wystrzegamy się wyciągania wniosków z tego, jak oceniają nas słuchacze. Nie mam pewności, czy z takim podejściem należy zmierzać prosto do liceum. Uczeń jak musi, nauczy się wszystkiego, co jest w programie. Dobrze byłoby jednak pamiętać o tym, co dalej dzieje się z tą wiedzą.

18. Jak widać, mamy zadanie zbliżone do kwadratury koła. Zajmujemy się dyscypliną niezbędną dla nabycia samej schludności w myśleniu, o rozumieniu świata nie wspominając. Jest to zarazem dyscyplina, wokół której narosło tyle nieufności, że najchętniej się ją marginalizuje. Nic nie odczarowałoby jej skuteczniej, niż rzetelna informacja – ale w tym przeszkadza stan zaczarowania. Bez zdecydowanego postawienia na swoistą hodowlę talentów dydaktycznych wyjścia nie widać – a to sobie trzeba jasno powiedzieć, że w tej materii napsuliśmy (środowiskowo), ile można. Dostatecznie złą robotą i złym przykładem było doprowadzenie do stanu, w którym nie ocenia się *jakości* dydaktyki. To niby jakim sposobem wiedzieć, kto się w niej sprawdza?

19. Poprawę kondycji polskiej filozofii chyba trzeba zaczynać „od środka”. Na dobry początek nie zawadziłaby większa samodzielność. W dostrzeganiu problemów. Radykalnie nowe idee nie pojawiają się co rusz, to prawda. Rzecz jednak w tym, że problemy kwitną nie tylko w Niemczech, Francji czy USA. Tak

to jednak z polskiej perspektywy wygląda, że o ile jakiegoś zagadnienia nie zaczęto jeszcze „ugniatać” gdzieś w świecie, to nie ma powodu się nim zajmować (bo jest „nienaukowe”; rozumie się – skąd wziąć bibliografię?). A jeśli już „ugniatają”, to trzeba zaraz koniecznie się przyłączyć, nawet jeśli sensu wielkiego to nie ma – jak wskazuje ta nieszczęsna „pomyłka smaku”, czyli postmodernizm po polsku.

Do tego wzrostu samodzielności jednak nie dojdzie się obecnymi sposobami. Ma Prof. Woleński rację świętą, wskazując na „bibliograficzną wybiórczość” polskich filozofów. Tyle że nie doktoranci są tu rozsądnikiem złego, bowiem tak doktorant pisze, jak promotor wymaga. O (nie do końca merytorycznych) rozterkach przy tworzeniu następnej pracy na stopień też by sporo się dało powiedzieć... To nie są okoliczności sprzyjające niezależności myślenia. Podobnie nie sprzyja jej jednostronne wykształcenie, dość typowe dla średniego pokolenia. Nie jest tajemnicą, że nieraz do „wykierowania się na filozofa” wystarczyły szczerze chęci, niekoniecznie poparte zdolnościami. Nawet jednak solidne studia kierunkowe, choć zapewniają kulturę filozoficzną, to przecież same nie wystarczą do uprawiania przynajmniej niektórych dziedzin filozofii. Prawda, że można nadal tworzyć np. antropologię tak, jakby psychologia jeszcze nie istniała – i nadal zmagać się z dualizmem kartezjańskim... ale w takim razie aspiracje do naukowości wydać się mogą nader problematyczne. Przyzwoite obeznanie filozofa z wybraną dyscypliną szczegółową nie jest oczekiwaniem nadmiernym – to raczej spodziewanie się powrotu do dobrej tradycji.

20. Postulowaną niezależność myślenia, jeśli zdarzy się jej pojawić, nazywa się coraz częściej kontrowersyjnością i traktuje jako rzecz nieprzyjemną, nieledwie szkodliwą. Łatwiej zyskać akceptację autorowi „szkolnemu” niż „kontrowersyjnemu” czy bodaj tylko „dyskusyjnemu”. Jest zdecydowanie niedobrze, gdy w gronie filozoficznym „kontrowersyjność” staje się wadą – jeśli nie będzie też dyskusyjnych i kontrowersyjnych, to robota filozoficzna dziwnie zacznie przypominać zajęcie właściwe dla środowisk dogmatycznych: jednomyślne przyjmowanie jednomyślnie uchwalonych prawd. I efekty tej roboty

będą równie interesujące, jak uchwały dawnego Biura Politycznego. Filozofii polskiej trzeba by zatem życzyć mniej imitacji i myśli „grzecznie uczesanych”, a zdecydowanie więcej kontrowersji. Tematycznych, nie personalnych; gorące dyskusje to mają do siebie, że przyciągają uwagę.

Bez zjednoczenia środowiska niewiele zrobimy

Tadeusz Gadacz

Trudno nie zgodzić się z uwagami prof. J. Woleńskiego. Także ja podzielam przekonanie, że polskiej filozofii konieczne jest otwarcie na filozofię światową. Jednak wielkie idee filozoficzne rodzą się tam gdzie filozofia jako dyscyplina nauki uprawiana jest rzetelnie i na wysokim poziomie. Mam na myśli historyków filozofii, badaczy rozmaitych problemów filozoficznych. Porównanie tego poziomu badań polskiej filozofii z filozofią światową niestety nie wypada najkorzystniej. Nie twierdzę, że nie mamy wśród polskich uczonych rzetelnych, a nawet wybitnych badaczy. Rzecz dotyczy całego filozoficznego środowiska akademickiego (w Polsce czynnych zawodowo filozofów jest powyżej tysiąca). Przyczyn tej niekorzystnej dla nas sytuacji jest wiele. Kilkadziesiąt lat panowania marksizmu, brak filozofii w szkołach średnich (przypomnijmy, że już przed wojną uczniowie czytali po grecku w gimnazjach o profilu klasycznym fragmenty dialogów Platona), brak przekładów tekstów źródłowych (pomimo wysiłków środowiska w budowaniu Biblioteki Klasyków Filozofii), brak możliwości wyjazdów zagranicę, brak dobrych i nowoczesnych podręczników do różnych dziedzin filozofii. Obecnie sytuacja zmieniła się dość radykalnie. Znajomość języków obcych jest dość powszechna, możemy bez przeszkód uczestniczyć w światowym życiu filozoficznym, zaczynają pojawiać się pierwsze rzetelne podręczniki do filozofii (m.in. J. Woleńskiego do teorii poznania i W. Stróżewskiego do ontologii), choć wciąż nam brak wielu innych. Z zagranicy wracają młodzi ludzie, którzy uzyskali doktoraty na renomowanych uczelniach zachodnich u znanych i cenionych profesorów. Nastąpiło umasowienie wykształcenia wyższego, wyraźne widocznie także na studiach filozoficznych, z dwudziestu kilku studentów filozofii na roku w latach 70-tych, do 100, a nawet ponad 100 obecnie, uwzględniając studia zaoczne i wieczorowe. I tutaj niestety zaczynają się problemy. Powracająca z zagranicy młodzież ma ogromne trudności

z uzyskaniem etatu akademickiego, ponieważ poza wyjątkami (m.in. IFiS PAN) konkursy są pozornie otwarte, a kandydaci nie są rzetelnie oceniani według zobiektywizowanych kryteriów. Nie dają im się szans, by ich dorobek mógł zostać oceniony przez specjalistów w dziedzinie. Sądzę, że nastał najwyższy czas by zacząć dyskusję na temat sposobu obsadzania stanowisk filozoficznych w Polsce w kontekście innych krajów (Anglia, Francja, Niemcy Stany Zjednoczone). Masowość wykształcenia filozoficznego, która sama w sobie może być wartością jeśli dotyczy magisterium, ma niestety negatywny wpływ na produkcję coraz większej liczby doktoratów, których poziom jest coraz niższy. Za pozytywną i wystarczającą w doktoratach przyjmuje się na ogół rekonstrukcję poglądów jakiegoś myśliciela. Znikają problemy badawcze, których się nie podejmuje i nie usiłuje rozwiązywać. Prace często recenzowane są przez osoby, które w środowisku nie uchodzą za znawców danej problematyki, znane są natomiast ze skądinąd pozytywnej cnoty życzliwości. A nawet, jeśli są rzetelne i w swym wydźwięku negatywne, kończą się często pozytywnym wnioskiem. Próbuje się jak ognia unikać rzetelnej oceny rozpraw i własnych kompetencji. Skutkiem tego jest wypieranie filozofii lepszej przez gorszą. Powstaje zatem w polskiej filozofii rozwarstwienie. Z jednej strony mamy coraz większą liczbę dobrze wykształconych i kompetentnych adeptów nauk filozoficznych, także wykształconych w Polsce, którzy nie mają perspektyw zatrudnienia, z drugiej masową produkcję coraz słabszych prac.

Odrębnym problemem jest stosunek rządu nie tylko do filozofii, lecz w ogóle do nauk humanistycznych w Polsce, z czym całkowicie zgadzam się z prof. J. Woleńskim. Dotyczy to zarówno zupełnej obojętności na problem nauczania filozofii w szkole, jak i niedoinwestowania nauki, szczególnie nauk filozoficznych. Takie projekty, jak przekłady polskich wybitnych dzieł filozoficznych na języki obce wymagają odpowiednich środków finansowych, które nie powinny być „wyszarpowane” z Ministerstwa Nauki i Informatyzacji, tylko przyznawane na określone i duże projekty. To samo ministerstwo powinno ogłaszać konkursy na ważne dla całego polskiego środowiska humanistycznego (filozoficznego) projekty. Zważywszy, że chodzi tu o projekty dotyczące całej polskiej

humanistyki, środki te są nieporównywalne do tych jakie przeznaczane są na laboratoria badawcze w naukach ścisłych. Przykładem stosunku władz do filozofii jest BKF i BWF. Biblioteki te, które są dorobkiem całego polskiego środowiska filozoficznego zostały przez państwo sprzedane wraz z PWN i stały się zakładnikiem prywatnych właścicieli, którzy kierują się jedynie celami ekonomicznymi. Pomimo zapewnień pani Prezes PWN nic w seriach się nie dzieje, nie mamy żadnego wpływu na ich politykę wydawniczą, która w ostatnim roku w ogóle przestała istnieć, ani na wznowienia koniecznych w kształceniu źródeł, które nie były wznowiane od kilkudziesięciu lat. Jeśli nadal będzie istniał taki stan rzeczy sądzę, że seria musi być kontynuowana pod inną nazwą pod patronatem finansowym rządu. W dostępie do źródeł mamy do nadrobienia wciąż ogromną przepaść w stosunku do krajów zachodnich. Cenne inicjatywy poszczególnych wydawnictw niewiele tu zmieniają. Chodzi o duże, często wielotomowe dzieła, zredagowane na wysokim poziomie naukowym, których wydania małe wydawnictwa nie udźwigną finansowo.

Konieczne jest zatem wywieranie presji na rządzie. Nasze środowisko jest jednak niestety rozbite. Świadczy o tym słabe zainteresowanie nie tylko wyborami do KNF-u, lecz także do KBN. W ostatnich wyborach nie byliśmy w stanie zjednoczyć się w wyborze wspólnego kandydata. Nikt z filozofów, o ile wiem, nie wszedł do KBN. Bez zjednoczenia środowiska niewiele zrobimy. Istnieją co najmniej 2 instytucje, które mogłyby się przyczynić do zjednoczenia środowiska i wywierania silniejszego wpływu na rząd: KNF i PTF. Być może warto też byłoby zastanowić się nad powołaniem Fundacji na rzecz Filozofii Polskiej.

W towarzystwie nieboszczyków

Adam Chmielewski

Stan niezadowolający – stan niezadowolenia

W swojej zrównoważonej ocenie stanu filozofii w Polsce Jan Woleński zasadniczo się nie myli. Wiele słusznych uwag sformułowali pozostali filozofowie zaproszeni do dyskusji.

Mój udział w debacie o filozofii w Polsce postanowiłem zdefiniować jako próbę wskazania na światopoglądowe i pozaświatopoglądowe mechanizmy, które sprawiają, że stan filozofii w naszym kraju jest bardzo niezadowolający, ponieważ w tej akurat sprawie opinii Woleńskiego nie podzielam. Fakt, że wielu dyskutantów popadło w swoich komentarzach w ton ubolewania wskazuje, że oni również nie są ani zadowoleni, ani nie znajdują powodów do optymizmu. Sądzę bowiem, że nie jest prawdą, iż filozofia w Polsce nie jest ani lepsza, ani gorsza niż gdzie indziej. Jest znacznie gorsza niż wskazywałyby na to nasze polskie ambicje, a także znacząco gorsza niż mogłaby być. Na stan niezadowolenia wskazuje również potrzeba toczącej się debaty, ponieważ, jak rozumiem, intencją organizatorów tego spotkania nie było stworzenie forum po to, abyśmy mogli gratulować sobie naszych osiągnięć.

Na temat stanu polskiej filozofii w Polsce miałem okazję wypowiadać się – nieproszony przez nikogo – kilkakrotnie w kilku miejscach. Ponieważ nadal jestem przywiązany do swoich myśli wyrażonych uprzednio gdzie indziej, posługuję się nimi w niniejszej wypowiedzi.

Aleja zasłużonych

Przed kilku laty na łamach „Polityki” toczył się spór o to, którzy z polskich uczonych uzyskali autentyczną rangę światową dzięki wynikom swych badań naukowych. Propozycja Jana Woleńskiego, aby listę naszych naukowych bohaterów narodowych ograniczyć do czterech (Mikołaj Kopernik, Maria Curie-

Skłodowska, Stefan Banach i Alfred Tarski) wzbudziła głosy protestu, wielu bowiem sądziło, że zasługujemy na liczniejszą reprezentację. Wszelako niemal każde nazwisko, jakie chciano do tej listy dodać, budziło mniejsze lub większe wątpliwości, co z natury rzeczy rzucało cień znaku zapytania nad każdą, jakkolwiek wydłużoną listą polskich osiągnięć naukowych. Polska aleja zasłużonych dla nauki światowej jest niepokojąco krótka.

Filozofia w Polsce – *terra incognita*

Nasz kraj znany jest w świecie częściej z filozoficznych dokonań wybitnych matematyków i logików, wywodzących się ze Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, niż z osiągnięć filozoficznych w bardziej liberalnym sensie. Najszerzej znany jest oczywiście Alfred Tarski, lecz mamy również „własny” „narodowy” sposób zapisywania twierdzeń logicznych, wymyślony przez Jana Łukasiewicza i znany jako *the Polish notation*.

Inne ważne dokonania filozoficzne pozostają jednak w głębokim cieniu. Nawet wówczas, gdy na to nie zasługują. Jednym z wielu, choć dobitnym tego przykładem jest na przykład zdziwienie Alasdaira MacIntyre’a istnieniem wybitnej pracy Marii Ossowskiej *Normy moralne*, jednej z istotnych prac we współczesnej etyce, przewyższającej dokonania niejednego filozofa moralności na Zachodzie. Przykład ten i wiele podobnych świadczy o tym, że nie wystarczy napisać znakomitą książkę, ani nie wystarczy nawet wydać jej w języku angielskim, *lingua franca* współczesnego świata, jak to miało miejsce w przypadku *Norm moralnych* Ossowskiej.

Wchodzenie do filozoficznej konwersacji ludzkości jest dla nas trudne wskutek koncentracji świata zachodniego na sobie oraz wskutek lekceważącego i protekcyjnego stosunku do myśli innych nacji i cywilizacji. Mimo obalenia muru berlińskiego uporczywie dzielą nas kulturowe, lecz równie nieprzenikliwe kurtyny. Kurtyny te istniały naturalnie na długie stulecia przed zbudowaniem żelaznej kurtyny, co gorsza jednak trwają w najlepsze po jej obaleniu. Te kurtyny to bariery wynikające z postrzegania nas przez długie wieki jako członków innej, późniejszej cywilizacji. Uważam, że to poczucie pośledniości skrycie lub

nieświadomie w większości podzielamy, lecz niestety nie staje się ono motywacją, aby je pokonywać, co tym bardziej stan pośledniości utrwała.

Brak wiary

Bertrand Russell ironizował, że wszelki nonsens zyskuje sobie status najwyższej mądrości, byle był tylko wygłoszony po łacinie. Najpoważniejszym problemem polskiej kultury jest problem wtórności. Panuje w naszych polskich umysłach choroba analogiczna do wykpiwanej przez Russella: wszelki sens i nonsens uważa się u nas za wielką mądrość, pod warunkiem, że został napisany po angielsku, francusku czy niemiecku, rzadziej po hiszpańsku. Z przyczyn historycznych, a jeszcze bardziej psychologicznych, większość z nas choruje na wtórność i papugowatość, ponieważ nie ufamy we własne zdolności stworzenia czy powiedzenia czegokolwiek interesującego w naszym zupełnie egzotycznym języku. Wydaje się, że nie potrafimy, nie jesteśmy w stanie lub nie chcemy, jako intelektualiści, ekonomiści, artyści, filozofowie, powiedzieć coś własnego i oryginalnego, ponieważ nie wierzymy, że inne nacje będą chciały nas czytać i tłumaczyć na swoje języki. Ten fundamentalny brak wiary we własne siły, połączony z brakiem szacunku dla pracy kolegów po fachu, jest paralizujący i on właśnie skazuje nas na wtórność i intelektualną drugorzędność.

Widać to wyraźnie na przykładzie współczesnej filozofii polskiej. Od czasów Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, której potomkowie nie bez wielkiego i – jak można sądzić – mało skutecznego trudu starają się podtrzymać przy życiu tę tradycję, nie zjawiała się w Polsce spójna grupa filozofów, która zwróciłaby uwagę całego świata oryginalną twórczością i skłaniała innych do uczenia się naszego niemożliwie trudnego języka, jak próbować miał tego kiedyś sam Willard Van Orman Quine. Jakkolwiek więc mogliśmy się szczycić najwyższymi osiągnięciami w filozofii lat międzywojennych, pamiętanymi po dziś dzień i wykorzystywanymi dotychczas na całym świecie, pierwsze dziesięć lat świeżo odzyskanej wolności jeszcze nie zrodziło tak samo potężnego i wpływowego nurtu, jaki wyszedł spod nauczycielskich skrzydeł Kazimierza Twardowskiego. Należy też wątpić, czy w ogóle kiedykolwiek to nastąpi.

Poczucie bezsilności

Być może ma to związek z generalnym trendem w filozofii, w której Wielkie Teorie, Narracje czy Metanarracje o uniwersalistycznych ambicjach poddano fundamentalnej krytyce. Najogólniejsza z nauk doszła bowiem do wniosku, iż świat wymyka się jej z rąk i że nie da się już skonstruować wszechogarniającej Jednolitej Teorii Wszystkiego, gwarantującej zbudowanie niezawodnej sieci teoretycznej, skutecznie chwytającej w jeden schemat pojęciowy najdrobniejsze cząstki i w s z y s t k i e aspekty W s z y s t k i e g o , a należy pamiętać, że ta właśnie ambicja stanowiła najsilniejszą inspirację najważniejszych systemów filozoficznych w ogóle, w tym także inspirację stylu i treści myślenia szkoły lwowsko-warszawskiej. Fakt zniknięcia tej inspiracji – uznanej obecnie za źródło różnorodnych ideologicznych niebezpieczeństw – jest powodem utraty dynamizmu w rozwoju filozofii jako takiej, choć należy mieć świadomość, że diagnoza ta nie jest ani powszechnie akceptowana, ani nie jest niekontrowersyjna.

Obecny stan polskiej filozofii, obok tej ogólnej, ma jednak także inne jeszcze przyczyny.

Zagubienie

Dzięki zmianom politycznym, społecznym i kulturowym po 1989 roku filozofowie polscy z ulgą pozbyli się ograniczeń narzuconych im przez zniekształconą i uproszczoną doktrynę marksizmu. W upowszechnianej wersji doktryna ta aspirowała do wszechogarniającej i ostatecznej prawdy. Jej powszechne odrzucenie ujawniło jednak bardzo istotny fakt: doktryna ta zaspokajała pewną ważką potrzebę – potrzebę posiadania jakiejś uniwersalistycznej, fundamentalistycznej koncepcji świata naturalnego i społecznego, z której wynikałaby zarazem dobrze określona koncepcja filozofa i jego zadań w społeczeństwie. Marksizm tę rolę znakomicie spełniał – dla swych wyznawców. Ci zaś, którzy mimo totalitarnego systemu mieli odwagę mu się przeciwstawić, podobną uniwersalistyczną i fundamentalistyczną potrzebę zaspokajali w jednej z licznych koncepcji opozycyjnych wobec marksizmu. Wraz z odejściem marksizmu jednak filozofowie polscy utracili coś bardzo ważnego: dla niektórych była to

utrata ostatecznej prawdy, w którą szczerze wierzyli. Dla innych była to utrata ideologicznego wroga, którego ostateczna destrukcja była nierzadko głównym celem ich teoretycznego wysiłku.

Sami byli rzecznicy marksizmu bardzo łatwo pogodzili się ze swą utratą, zapewne dlatego, że wiara większości z nich była letnia, a także dlatego, że przyjmowali ją na ogół z przyczyn pozateoretycznych, by nie rzec wprost: oportunistycznych. Zarazem jednak, co tylko z pozoru jest paradoksem, znacznie trudniej z tą utratą było pogodzić się wrogom marksizmu; wielu z nich, z tęsknoty za dawnym przeciwnikiem ideologicznym, którego mogliby nadal zwalczać, nadając dalszy sens swojej pracy, poszukuje go nieustępliwie pod różnymi przykrywkami. I tak na przykład za kryjówkę dla byłych marksistów najczęściej uważa się popularny obecnie postmodernizm i heglizm.

A zatem, wygrawszy w 1989 roku bitwę duchową, czy też – zależnie od punktu widzenia – przegrawszy ją, niejedni polski filozof znalazł się w sytuacji, w której coraz trudniej znaleźć mu równie silne powody, jakie miał poprzednio, do pozostawania nim w dalszym ciągu. Obecną sytuację można więc uznać za historyczne poszukiwanie nowego światopoglądu, równie uniwersalnego i prawdziwego *Weltanschauung*, jakim swego czasu był marksizm.

Dyskurs abnormalny

W tym miejscu zużyte Kuhnowskie metafory okazują się bardzo użyteczne. Dominujący paradygmat został w procesie rewolucyjnym odrzucony; posługując się modnym żargonem, nastąpił moment dyskursu abnormalnego (Richard Rorty) lub też dyskursu niestandardowego (Clifford Geertz), ponieważ rewolucja w filozofii miała źródła i przyczyny pozafilozoficzne – a mianowicie polityczne i społeczne. Jest to jeszcze jedno uzasadnienie dla twierdzenia, że teoria nie ma żadnego wpływu na praktykę społeczną, ponieważ sowa Minerwy, jak zwykle mocno spóźniona i zdyszana, wylata o zmierzchu, na próżno starając się nadać sens pospiesznie zmieniającej się rzeczywistości.

Jesteśmy więc świadkami okresu teoretycznego bezładności i poszukiwania nowego paradygmatu. Trudno nie dostrzec, że w filozofii polskiej panuje obecnie

taki stan teoretycznego nieporządku w Kuhnowskim sensie. Co nie znaczy naturalnie, że bałagan nie jest pożyteczny i ożywczy, ani tym bardziej, że należałoby tęsknić do realno-socjalistycznego reglamentacyjnego porządku. W przeciwieństwie jednak do zagranicznych środowisk filozoficznych, środowisko polskie, jak leibnizjańska monada, odbija we własnym wnętrzu cały filozoficzny wszechświat. Tyle że – również jak z leibnizjańskiej monady – nic się z niego na zewnątrz nie wydobywa.

Zmiana kierunku

W 1989 roku odzyskana wolność oznaczała, że od tej pory każdy będzie miał wolność poszukiwania inspiracji gdziekolwiek zechce i nie będzie musiał się lękać, że mu ktoś zagląda przez ramię. Oczywiście też było, że filozoficzne spojrzenia, do niedawna spoglądające niepewnie na Wschód, od tej pory zwrócą się z ulgą ku Zachodowi, gdzie i tak od dawna ukradkiem zerkały. Filozofowie w Polsce uznali więc, że prawda musi rezydować w dostatnich krajach zachodnich; w istocie najwyraźniej sądzą, że im dostatniejszy kraj, tym bardziej obfituje w prawdę.

Wielobóstwo wytworem monoteizmu?

Wraz z otwarciem naszego kraju na różnorodne obce wpływy, zapanowała więc w polskim środowisku filozoficznym ogromna różnorodność doktryn, co dokonało się – warto to podkreślić – w rekordowo krótkim czasie.

Każdy filozof ma bardzo konkretne wyobrażenie o celu swojej działalności. Wyobrażeniu temu towarzyszy często silne przekonanie, że to, co robi właśnie on, musi być powszechnie przyjętym wzorem filozofowania; lub inaczej: jest przekonany, że jest tylko jeden Bóg, to znaczy Bóg *jego* wyznania, i że wszyscy inni, jeżeli chcą dostąpić Prawdy, również muszą oddawać cześć temu samemu Bogu – jak też przy okazji samemu filozofowi, który jest Jego prorokiem. To „monoteistyczne”, a często po prostu narcystyczne pragnienie prowadzi – paradoksalnie – do powstawania wielkiej różnorodności pojęć filozofii i do prób odbierania prawa innym filozofom do miana uczestnictwa w „istocie” filozofii. Im

bardziej radykalna i monoteistyczna jest taka postawa, tym silniejszą opozycję wobec siebie budzi ze strony wyznawców innych wierzeń, stwarzając w efekcie sytuację, w której różne grupy wyznawców przypominają zbiorowisko wrogich, zaciekle zwalczających się plemion, oddających równie gorliwie cześć różnym, a więc fałszywym bogom. Wojny religijne są przecież tym bardziej zacięte, im bardziej nieustępliwy jest ów monoteizm, a im bardziej narasta owa nieustępliwość, tym częściej argument racjonalny podpira się pozaracjonalną perswazją i przemocą.

Turystyka filozoficzna i jej konsekwencje

Tę typową filozoficzną trudność komplikuje kolejna, bardziej przyziemna. Wielu polskich filozofów ukształtowało mniej lub bardziej silne związki z różnymi centrami filozofii na Zachodzie. Nabyli więc przekonania, że po odrzuceniu uprzednio dominującego stylu filozofowania jako skażonego totalitarną polityką, nową filozofię należy budować w zgodzie z zasadami, jakie podpatrzyli na Zachodzie. Ponieważ jednak podróżowali do bardzo odmiennych ośrodków, niemal każdy sądzi, że nowy porządek w filozofii trzeba oprzeć na tym, co widział podczas swej naukowej turystyki. Każda recepta na zbawienie filozoficzne okazuje się wszelako inna i często nie do pogodzenia z pozostałymi; tym sposobem, w sytuacji powszechnego mylenia konkretności z ogólnością, nie tylko zgoda, ale i porozumienie stają się niemożliwe.

Można więc sformułować tezę, że polskie środowisko intelektualne należy – choć nie z własnej woli, a nawet wbrew niej – do najbardziej postmodernistycznych środowisk w świecie, jeżeli za wyróżnik postmodernizmu uznać faktyczną różnorodność i różnorodność uznawanych doktryn. Zarazem jednak jest ono najbardziej anty-postmodernistyczne, ponieważ niemal każdy z nas wyznaje swoje koncepcje i ma swoich bogów, popadając przy tym w sprzeczny z postmodernizmem absolutyzm w odniesieniu do własnej wiary filozoficznej oraz lekceważenie i pogardę dla wiary filozofa-bliźniego. Pod tym względem nie odbiegamy od przeciętnego poziomu polskiego izolacjonizmu, sekciarstwa, politycznego partyjnictwa i prowincjonalizmu.

Import bezcłowy

Nie ma obecnie w Polsce rodzimego filozoficznego projektu, który można uznać za dominujący i który byłby zdolny pokonać obecną, poprzednio niesłuchaną, sytuację niewspółmierności. Czasy Szkoły Lwowsko-Warszawskiej należą do przeszłości. Nie ma następców Tarskiego, Leśniewskiego, Łukasiewicza, nie ma Kotarbińskiego, Tatarkiewicza, Ossowskiej ani nawet Ingardena. Powszechne za to staje się importowanie mniej lub bardziej dojrzałych zachodnich projektów filozoficznych, bez względu na ich wartość, a ich główną zaletą jest często jedynie to, iż wyszły spod piór autorów niepolskich. Dla niektórych załamanie marksizmu, jako dziedzica filozofii Oświecenia, jest oczywistym znakiem upadku wszelkich modernistycznych programów intelektualnych i świadectwem, że wszystkie należy zastąpić przez *postmodernizmem*. Inni propagują ściśle *antymodernistyczną* i antyoświeceniową filozofię. Jeszcze inni ulegają fascynacji paradygmatem oksfordzkiej filozofii analitycznej, mimo że w samym Oxfordzie panuje obecnie poczucie, że ich ruch dramatycznie i bezpowrotnie stracił na sile. Ponieważ niemal każdy zwolennik tych odmiennych opcji cierpi na silne uniwersalistyczne ambicje, nie ma szans na komunikacje z przedstawicielami innych plemion filozoficznych i na wzajemne zrozumienie, a jeszcze mniej na owocną współpracę między nimi.

***Au courant* za wszelką cenę**

Kolejny problem to ten, że zainteresowania polskich filozofów są niezmiernie szerokie. Jednak ich dzieła z zasady nie aspirują do oryginalności. Obecnie publikuje się więc głównie – choć naturalnie nie wyłącznie – egzegezy i raporty z dzieł pisarzy z innych krajów, jak gdyby jedyną funkcją myśliciela była taka wtórna działalność. Praca ta jest użyteczna i niezbędna, trudno jednak uznać ją za oryginalny wkład do filozoficznej konwersacji ludzkości. Większość tego pisarstwa bierze się z potrzeby orientacji w tym, co należy wiedzieć, o czym należy mówić i myśleć, nie zaś z potrzeby powiedzenia światu tego, co się samemu naprawdę myśli.

Sytuacja w filozofii polskiej ściśle przypomina sytuację w polskim przemyśle rozrywkowym, w którym imitacja zachodniego dorobku „kulturalnego” – ocierająca się o plagiat – ma równie przytłaczający charakter. Polscy intelektualiści konkurują między sobą zaciekle, lecz przedmiotem rywalizacji nie jest ani oryginalność ani prawda, lecz to, kto zdoła opublikować jako pierwszy interpretację jakiegoś zachodniego filozofa, dzięki czemu będzie mógł następnie uchodzić za specjalistę od „tematu”. Wola prawdy została na dobre wyparta przez wolę teoretycznego bezpieczeństwa, a tego bezpieczeństwa szuka się w przewodzeniu w wyścigu do poznawania najnowszych mód i trendów.

Pragnienie bycia *au courant* – bycia obeznanym w tym, co obecnie jest nie tyle najważniejsze, ile najgłośniejsze – każe uznawać najnowsze mody za ostateczne prawdy. Skutkiem tego dobrowolnego samopodporządkowania się imperializmowi kulturowemu Zachodu jest to, iż najnowsze mody z konieczności nie pochodzą z Polski po prostu dlatego, że nie ma wśród nas dostatecznie dobrych krawców, by stworzyć rodzimą *haute couture*. Polscy filozofowie więc noszą się z francuska, a także *a la English lord* czy najczęściej jako *a good American fella*, lecz ich filozoficzny przydzwiek z reguły pochodzi z gatunku *ready-to-wear*, jeżeli nie z wyprzedaży zgoła. Konia z rzędem temu, kto napotkał filozofa na świecie, który zechciałby się nosić z polska. Przykre jednak jest to, że sami Polacy niezbyt mocno tęsknią za rodzimym etnocentrycznym przydzwiewkiem, lękając się zapewne, że okaże się ono nie tyle śmiesznym strojem krakowskim, co żenującą siermiężną kapotą.

Syndrom Krzywickiego

Generalnie rzecz ujmując polskie tradycje filozoficzne, a także szerzej, naukowe, nie są imponujące. Wyjaśnienia tej znikomej roli polskich umysłów w tworzeniu światowych dzieł naukowych można szukać w licznych przyczynach historycznych. Wśród nich warto pamiętać przede wszystkim o odpowiedzi, udzielonej na ten temat przez Irenę Krzywicką w dojmującym wspomnieniu o teściu, Ludwiku Krzywickim. „Talent naukowy Krzywickiego był bardzo

wysokiej miary. Gdyby był uczonym w jakimś szczęśliwszym niż Polska kraju, imię jego z pewnością zyskałoby rozgłos światowy, a dorobek czysto naukowy byłby rewelacyjny. Tymczasem on z jednej strony oddał się na służbę ojczyźnie, z drugiej zaś musiał gonić za zarobkiem. Rozmienił w znacznej mierze swój talent na drobne, drukując mnóstwo artykułów, wykładając nie tylko na wyższych uczelniach, ale i w szkole średniej i na kompletach dla burżuazyjnych panienek.”

Choć wielu polskich uczonych ma powody do autentycznej i słusznej dumy, to należy przyznać, że pod wieloma względami sytuacja polskiego uczonego nie uległa radykalnej zmianie ani w czasach PRL, ani w czasach wyśniewanej i wywalczonej (niejednokrotnie przez samych naukowców zresztą) wolnej Rzeczypospolitej. System polskiej nauki, umocowany w archaicznych ustawach, jest zorganizowanym marnotrawstwem talentów naukowych i humanistycznych. Instytucjonalne rozmienianie na drobne talentów ma zaś swoją przyczynę w haniebnej nędzy polskiej nauki. W tym naturalnie filozofii.

Kasa, czyli nędza humanistyki

Nędzę ilustruje to, że państwo łoży z budżetu na naukę poniżej 0,5 % PKB, co sytuuje nas w niepokojącym sąsiedztwie Uzbekistanu, Kazachstanu i chyba już poniżej Albanii, znanych potęg naukowych. Czesi wydają 2% PKB. Inna liczba jest równie porażająca: Finlandia, kraj o powierzchni zbliżonej do powierzchni Polski, ale za to znacznie bardziej mroźny, a na dodatek zamieszkały głównie przez karłowate sosny, karłowate brzozy, łosie, 5,1 mln Finów oraz przez św. Mikołaja, wydaje na każdego studenta rocznie równowartość ok. 9000 USD; Polska natomiast ok. 900 USD, tj. dziesięć razy mniej. Wstrząsające jest to, że jeżeli w czasach PRL ok. 18% młodzieży pochodzenia „chłopskiego” podejmowało studia, to obecnie liczba ta nie przekracza 2%. Nie lepiej sprawa wygląda, gdy idzie o talenty absolwentów, którym udaje się studia skończyć (ci lądują na pustyni bezrobocia), jak i z talentami młodych uczonych, którym udała się sztuka pozostania w instytucjach naukowych.

Tygodnik „Polityka” określił tych ostatnich słusznym mianem „desperados” i niektórych wspiera w ich materialnej nędzy całkiem szczodrymi

stypendiami. Ta godna pochwały inicjatywa jest chwalebna dla „Polityki”, ale zarazem niekiedy wstydliva dla wielu potencjalnych laureatów tych stypendiów; jest tak zapewne dlatego, że młodzi uczeni wstydzą się swojej nędzy, a i chyba własnej głupoty, że dali się nabrać na tę idealistyczną ścieżkę kariery życiowej.

W towarzystwie nieboszczyków

Maria Janion stwierdziła niedawno, że do Europy, tak, winniśmy wejść, ale ze wszystkimi naszymi umarłymi. Powinniśmy się jednak zastanowić, zanim wejdziemy do Europy w towarzystwie gromady duchów naszych zmarłych, czy nie byłoby znacznie lepiej dla nas wszystkich, gdybyśmy „z żywymi naprzód szli, po życie sięgali nowe, a nie w uwiędłych laurów liść z uporem stroili głowę.” Myśląc o przyszłości żywych, nie zaś o przeszłości martwych, skuteczniej wygospodarujemy w „nowej Europie” nie tylko godne miejsce dla nas samych, ale i respekt dla naszych przodków, którym zawdzięczamy nasze istnienie i nasze tradycje. Samymi umarłymi ani starej, ani nowej Europie nie uda się nam zaimponować, skoro, jeżeli wierzyć Woleńskiemu, tak niewielkie ich grono budzi jednoznaczny szacunek.

Plagi polskie

Obok wspomnianego bagażu nasza humanistyka wejdzie do Europy wraz z plagami, które ją prześladowają. Na ich czele znajduje się wtórność polskiego piśmiennictwa naukowego, zwłaszcza w humanistyce. Jedyne dzieła ocierające się o oryginalność to te nawracające do przeszłości i w tym sensie „kombatanckie”. Są one niekiedy wielce znaczące, jednakże mają one swoje znaczenie i zasięg tylko lokalny, czyli obchodzą tylko samych Polaków, lecz oczywiście tylko bardzo nielicznych, ponieważ większość nic nie czyta, ale i to tylko na chwilę, ponieważ zaraz pojawia się nowy pomnik, któremu trzeba oddać cześć, odwracając się plecami do poprzedniego. Jednakże nawet w dziedzinie kombatanctwa trzeba zauważyć, że nasze rodzime dzieła historyczne nie mogą się równać np. z dziełem François Guizota o cywilizacji europejskiej, Leopolda Rankego o dziejach papieżstwa, Edwarda Gibbona o upadku Rzymu, czy Arnolda Toynbee’ego o

cyklach historycznych i prawach rozwoju cywilizacji. W ostatnich latach najgłośniejsza na świecie z polskich dzieł historycznych okazała książka Tomasza Grossa *Sąsiedzi*, która wszelako traktuje o rodzimej i haniebnej zbrodni, nie daje więc specjalnych powodów do dumy.

Cudzołożenie

Plaga druga to wtórność złośliwa, znana jako plagiatorstwo. Niektórym autorom nie chce się już nawet wyrażać cudzych myśli swoimi słowami (np. „jak napisał wielki francuski uczony ...”), więc spisują je dosłownie z cudzych tekstów. Filozofią polską wstrząsnął niedawno przypadek profesora pracującego w kilku instytucjach w Polsce, a zarazem gościnnego profesora uczelni niemieckich, który publikował prace w kilkudziesięciu procentach spisane żywcem z tekstów żywych jeszcze niemieckich filozofów. Grozi mu teraz odebranie tytułu naukowego.

Wtórność polskiej humanistyki jest tylko odzwierciedleniem typowego dla społeczeństwa polskiego przyzwolenia na wtórność i nieuczciwość intelektualną, z którym każdy Polak styka się już we wczesnym dzieciństwie szkolnym. Jeżeli polski uczeń wie, że „wolno mu” ściągać na klasówkach, na egzaminach, na maturze, na studiach, to dlaczego miałoby być inaczej później, podczas pisania prac magisterskich, które stanowią nowy, intensywnie rozwijający się rynek handlu gotowcami, a także w trakcie ubiegania się o wyższe stopnie i godności naukowe?

Problem ten przybiera obecnie rozmiary absolutnie przytłaczające i wcześniej niesłychane. Choroba ta narasta w postępie geometrycznym dzięki powszechnej dostępności komputerów, Internetu i... wyższej edukacji. Obecnie przeciętny wykładowca przedmiotów humanistycznych jest zmuszony zaliczać swój przedmiot już nie kilkudziesięciu, lecz kilkuset studentom. Aby zachować przynajmniej pozory sprawiedliwości wystawianej przez siebie oceny, czyni to na podstawie albo schematycznych i odmóżdżających testów, albo prac pisemnych. Prace te zaś w ok. 75% okazują się zakupione na rynku takich surowców wtórnych lub są wzięte z Internetu. Skutek jest taki, że w jednej kilkusetosobowej grupie

studentów profesor natyka się na partie identycznych prac, pod nie zawsze zmienionym tytułem. Zdarza się, że jedynym wkładem studenta do jego „własnej” pracy zaliczeniowej jest odręczne nagryzmolenie swojego nazwiska na ściągniętym z Internetu pliku, z którego nie pofatygował się nawet usunąć atrybutów typowych dla strony internetowej.

Sens tego procederu jest taki, że przyszłość i nadzieja narodu polskiego, polska młodzież, w zastraszającym tempie zapomina o sztuce pisania, ponieważ jej wiedzę sprawdza się zazwyczaj za pomocą testów wymagających zasadniczo biernej, nie czynnej znajomości ojczystej mowy. Jeżeli zaś już musi cokolwiek napisać, to zamiast komunikować swe twórcze idee oraz zapełniać swymi opiniami Internet, zaśmieca swe głowy zerzniętymi z Internetu cudzymi myślami, sztampą, stereotypem i bredniami. Tym sposobem zatracą bezpowrotnie jedyną szansę, jaką daje młodość, na kultywowanie swej kreatywności.

W wielu osobach

Kolejna rodzima plaga to wieloetatowość, widoczna chociażby we wspomnianym wyżej przypadku plagiatu. Jak uczony zatrudniony na kilku etatach ma znaleźć czas na twórcze, czy choćby odtwórcze myślenie? W pogoni za groszem niektórzy profesorowie zatrudniają siebie nawzajem na wielu etatach w wielu instytucjach, co łącznie daje całkiem niezłe kwoty. W takich warunkach jednak nie ma możliwości prowadzenia przyzwoitych zajęć dydaktycznych, jakichkolwiek badań naukowych, nie mówiąc o badaniach oryginalnych czy przełomowych. Temu usiłuje zapobiec – niezbyt udolnie zresztą – uchwała Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, inspirowana przez rektora Franciszka Ziejkę, szefa KRASP-u.

Ale z tych powodów właśnie to filozof amerykański Richard Rorty czy niemiecki Jürgen Habermas byli i są nadal – mimo mocno zaawansowanego wieku – wielkimi uczonymi, na których książki cały świat czeka z niecierpliwością i zacięciem. Natomiast polscy sędziwi uczeni w większości – nie wszyscy! – cierpią na syndrom Krzywickiego albo żyją z odcinania kuponów, jakie daje im pożądanym na rynku status profesora.

Geniusz pod kroplówką

Platon, niezależny finansowo arystokrata ateński, głosił, że Prawdziwemu Filozofowi nie przystoi troszczyć się o pieniądze i wychodził z siebie, aby przypiąć możliwie najczarniejszą łatkę Protagorasowi, plebejuszowi z Abdery, ponieważ ten pobierał wynagrodzenie za sprzedawanie wiedzy. Prawdziwy Filozof przecież nie kupczy najwyższą wiedzą.

Andrzej Grzegorzczak wygłosił swego czasu podobny pogląd: młodemu aspirantowi do rang naukowych trzeba płacić możliwie najskromniej. Wychodził zapewne z założenia, że jeżeli ów desperado przetrwa takie traktowanie, to będzie z niego dobry uczony, ponieważ najwidoczniej bardzo chce, bo, wiadomo, dla chcącego nic trudnego. Poglądy tego rodzaju uzyskują pozory prawdopodobieństwa dzięki takim przypadkom jak Baruch Spinoza, który swoje natchnione geniuszem traktaty pisał w wilgotnej amsterdamskiej suterenie w chwilach wolnych od szlifowania soczewek.

Nomina sunt odiosa; mimo to ośmielam się przypomnieć, że Richard Rorty, w kontekście finansowania badań humanistycznych gorzko wypominał amerykańskiej braci akademickiej, że „woli nie mówić o pieniądzach”. Inny „współczesny sofista”, Stanley Fish, powiada, że powodzenie materialne jest warunkiem rozwoju wiedzy, „zwłaszcza w humanistyce”. Trudno powstrzymać uśmiech słysząc w Polsce, jak na brak „powodzenia materialnego” uskarżają się dwaj najlepiej płatni i najpopularniejsi filozofowie amerykańscy. Dla profesora polskiego, który jest skazany na „syndrom Krzywickiego”, problem ten wcale nie jest zabawny, lecz upokarzający.

Odpowiedzialności za upokorzenie całego środowiska naukowego nie można już dłużej składać na władców z słusznie minionej epoki. Od 15 lat spada ona bowiem na obecne, „demokratyczne”, a raczej „liberalne” władze; im zawdzięczamy to, że zamiast zająć się przyzwoitą pracą, polscy uczeni muszą uganiać się za groszem, aby uniknąć doczesnego losu Spinozy, przez co skutecznie odbierają sobie szanse na analogiczny do Spinozjańskiego los i podziw pośmiertny.

Szczerze zazdroścę Jackowi Jadackiemu...

Jan Woleński

Z góry przepraszam wszystkich dyskutantów za pomijanie tytułów i stopni, ale to ułatwia sprawę, nie mam oczywiście nic przeciwko retorsji w tym względzie. Nawiasem mówiąc, ciągle grasująca tytułomania akademicka jest jednym ze świadectw staromodności naszej korporacji naukowej.

Użyłem terminu „staromodność”, by mieć bezpośredni powód do zajęcia się krytycznymi uwagami Jadackiego o moim tekście. Kilka z nich skwituję krótko. Nie widzę powodu do dyskusowania kryteriów ocen stanu badań filozoficznych, ponieważ z góry założyłem, że nie będę (poza kilkoma uwagami) takich ewaluacji dokonywał. Dodam tylko, że sformułowanie „jest na ogół taki sam, jak gdzie indziej, ani lepszy ani gorszy” trzeba rozumieć mniej więcej tak jak stwierdzenie „poziom piłki nożnej jest w Polsce taki sam jak gdzie indziej, ani lepszy ani gorszy” (to jest akurat fałszem, bo niestety jest gorszy). Jasne, że chodzi o poziom przeciętny w pewnym zbiorze obranym dla porównania, przy czym wiadomo, jak ów zbiór dobierać. Podobnie nie wdaję się w dyskusję nad tym, co znaczy staromodność filozofii austriackiej przed Brentanem ani nad tym, czy idee, które wstrząsają światem są coś warte czy nie, a także nad losami filozoficznej lipy. Szczerze zazdroścę Jadackiemu jego wielce uporządkowanego świata filozoficznego, w którym rzeczy jawią się jako jednoznaczne, trafne i należycie uzasadnione lub inne, a co więcej, mamy precyzyjne i uargumentowane kryteria, by je tak oceniać. Wszelako to grzeszne uczucie [zazdrości] zostaje nieco osłabione, gdy czytam u Jadackiego takie precyzyjne stwierdzenia jak „prawie nikt nie pisze recenzji” lub „liczba (...) potencjalnych *pseudo*-recenzentów jest tak duża, że”. Są one wielce uargumentowane, nieprawdaż? Proponuję jednak odłożenie dyskusji metafizycznej na inną okazję. Pięć dalszych marginalnych uwag: (a) z Witkacym rzeczywiście trafiłem, jak kulą w płot; (b) oczywiście wiem, że seria *Polish Analytical Philosophy* zaczęła ukazywać się, bom wraz z J. Brandlem

zredagował jej pierwszy tom; miałem oczywiście na myśli to, że jej kontynuacja została utracona; (c) z faktu, że międzywojenne podręczniki do propedeutyki filozofii ukazały się w 1938 r. nie wynika, że nie uczono wcześniej na ich poziomie, a trzeba raczej założyć coś przeciwnego; podałem zresztą i inne fakty na poparcie tezy o jakości nauczania tego przedmiotu w Polsce przed 1939 r.; (d) Jadacki myli PAN jako korporację uczonych i jako biurokratyczną instytucję (KNF jest przybudówką drugiej, a nie pierwszej); ja zajmowałem się tylko sprawą obecności filozofów wśród członków PAN-u, co może nie jest pierwszorzędne, ale o czymś jednak świadczy; (e) poradzę się lingwistów w sprawie „Szkoły Lwowsko-Warszawskiej” lub „szkoły lwowsko-warszawskiej”; sam zmieniłem zdanie w tej kwestii, bo wydaje mi się, że nazwa ta nie została wprowadzona jako imię własne. W tym miejscu odniosę się też do uwagi Grobiera wyjaśniającej powody losów tomu o Davidsonie. Otóż nie sądzę, by szło tutaj o chęć wysunięcia się przed szereg krajowych kolegów. Uważam, że raczej jest to przykład braku sprzeciwu wobec tego, co Grobier trafnie nazwał „anglojęzycznym szowinizmem”.

Jadacki sporo miejsca poświęcił krytyce mojej diagnozy kondycji dawniejszej filozofii w Polsce. Otóż, nie napisałem, że Twardowski zaczynał w Polsce od nowa. Kontekst wyraźnie wskazuje, że chodzi o Lwów. Tak więc, Jadacki niczego nie musiał prostować. Napisałem zresztą, że dzisiaj trzeba inaczej oceniać romantyzm i pozytywizm polski niż to czynił Twardowski. Jadacki utrzymuje, że to katolicyzm wywarł „potężne piętno” na narodowym kolorycie filozofii polskiej, o ile zgodzimy się włączyć do niej aksjologię. Dalej, powiada, że protestanckie uprzedzenia światopoglądowe Henryka Struvego sprawiły „karykaturalne skutki” w jego przedstawieniu historii filozofii polskiej. Ale Struve nie zajmował się historią aksjologii, lecz historią filozofii teoretycznej. Nie wiem teraz, czy Jadacki krytykuje to, że pominął aksjologię czy też to, że źle przedstawił historię filozofii polskiej w ogóle. Ponieważ Jadacki powiada, że podziela ocenę Struvego (zapewne nie z powodu protestantyzmu, a być może agnostycyzmu, ale mniejsza o to), wygląda na to, że rzecz dotyczy tej drugiej sprawy. Jedyne argumenty Jadackiego za tym, że wiek XVII i I połowa XVIII w. nie były złym

okresem w filozofii polskiej polega na informacji, że w bibliotekach wileńskich leżą dziesiątki polskich prac filozoficznych z tego okresu. Wszelako z tego nic nie wynika (podobnie jak z tego, że zaczął je katalogować Tatarkiewicz), bo albo to są prace scholastyczne albo nie są. Przypuszczam, że te pierwsze. Tedy, gdy inni mieli Kartezjusza, Malebranche'a, Locke'a, Berkeleya, Hume'a, Spinozę, Leibniza czy Wolffa, nie mówiąc o dziesiątkach mniej znacznych, myśmy mogli pochwalić się co najwyżej scholastyką wileńską, w miarę ciekawą, ale jednak czymś już z przeszłości. W XV, XVI, XVIII (II poł.), XIX i XX w. mieliśmy postacie o wymiarze europejskim w skali uniwersalnej, a pomiędzy 1650-1750 (z grubsza) filozofów o znaczeniu lokalnym i nie odpowiadającym temu, co działo się w większości krajów poza Polską. Ot i wszystko, dodając ewentualnie, że moje widzenie sprawy nie jest ani oryginalne ani odosobnione.

Jadacki ma prawo do głoszenia swojego poglądu na temat jakości filozofii w Polsce, a także roli katolicyzmu w tej materii. Byłoby jednak dobrze, by swoje tezy uzasadnił, wedle tych standardów, które sam uznaje (mnie zresztą zadowolą skromniejsze), a nie epatował tanimi chwytami retorycznymi o heglowskim ukąszeniu i ideologicznym uczuleniu. Nawiasem mówiąc, scholastyka wileńska jest przemilczana przez autorów wspomnianego przeze mnie artykułu o filozofii polskiej w *The Routledge Encyclopedia of Philosophy*. Napisali go profesorowie KUL-u, czyżby też ukąszeni heglizmem? Ci, jak zauważyłem, starali się skatolicyzować filozofię polską. W 1999 r. ukazała się książka *Filozofia polska wobec encykliki Fides et ratio*, znana chyba Jadackiemu, w której 26 filozofów uznało się za reprezentację całego środowiska; byłoby w całkowitym porządku gdyby po „*Filozofia*” dodano „*katolicka*”. Nie traktuję tych faktów, jako świadczących o „ukąszeniu katolickim” w filozofii polskiej, bo są raczej tylko zabawne, przynajmniej dotychczas. Ze swej strony radziłbym niejaką ostrożność w poszukiwaniu narodowego kolorytu filozofii polskiej w katolicyzmie. Jadacki podaje taki oto przykład, mianowicie motywy rekomendacji Natorpa dla Tatarkiewicza, by ten drugi zajął się filozofią Arystotelesa. Jadacki powiada, że Natorp wiedział trzy rzeczy: (a) Polska jest krajem katolickim; (b) katolicy z inspiracji papieskiej wracają do swych tomistycznych źródeł; (c) bazą tomizmu jest arystotelizm. Jestem poza krajem i nie

mogę sprawdzić źródła. Zdaje mi się, że zacytowałem Tatarkiewicza wedle tego, co napisał w przedmowie do II wydania *Układu pojęć w filozofii Arystotelesa*. Ani ta przedmowa ani treść książki Tatarkiewicza nie potwierdzają diagnozy Jadackiego. Będę wielce zobowiązany Jadackiemu za podanie źródła w sprawie wiedzy Natorpa i jej związku z jego rekomendacją dla Tatarkiewicza. Tak się złożyło, że badałem recepcję Arystotelesa w Polsce na przełomie XIX i XX w. W latach 1895-1910 ukazały się cztery ważne książki Polaków o Arystotelesie, mianowicie wspomniana rzecz Tatarkiewicza (1910; po niemiecku), monografie Gabryła (1895) i Wąsika (1909) o kategoriach oraz Łukasiewicza (1910) o zasadzie sprzeczności u Arystotelesa. Jedyne ks. Gabryl, jeden z pionierów neoscholastyki w Polsce, zajmował stanowisko neotomistyczne, inni zajmowali się Arystotelesem kompletnie niezależnie od katolicyzmu i związku tomizmu z arystotelizmem.

Bilans lat 1945-1989 w filozofii polskiej czeka jeszcze na opracowanie. Może jest jeszcze na wcześnie na to. Mimo to nie aprobuję globalnych potępień tego okresu, np. takich jakie miały miejsce w jednym z głównych referatów na zjeździe w Toruniu. Wracając do mojego zagajenia, to zwróciłem tylko uwagę na to, że nie należy przesadzać ze zniewoleniem umysłów. Zarówno Jadacki jak i ja, ukończyliśmy studia w tym czasie (w różnych latach) i jakoś nie zalała nas (i setek innych absolwentów filozofii) fala irracjonalnej ideologii, także dzięki temu, że uczyliśmy się bezpośrednio lub pośrednio u Ajdukiewicza, Kotarbińskiego itd. A także dlatego, że wielu marksistom bardziej zależało na poziomie filozofii w Polsce niż na wierności ideologii i nieraz bardziej niż ich nie-marksistowskim kolegom. Wszystkim tym (to nie jest akurat adresowane do Jadackiego), którzy obwiniają przede wszystkim komunizm o obecny stan filozofii polskiej przypominam, że żyjemy bez tego systemu już od 15 lat, a nie od wczoraj. Trzeba się zastanawiać, co zrobiliśmy w tym czasie, a nie tylko, co zrobił marksizm wcześniej.

I tak dochodzę do spraw, które poruszył nie tylko Jadacki. Zaczynam od kwestii nauczania propedeutyki filozofii w szkole. Wbrew Jadackiemu, uważam, że należy jej uczyć powszechnie, a nie elitarnie. Jeśli program jest przeładowany, to trzeba go odchudzić. Nie jest to trudne. Wystarczy skreślić religię w dwóch

ostatnich klasach, bo chyba wystarczy katechezy od przedszkola do 1 klasy licealnej. Niemniej jednak, głosy Kolarzowej i Groblera słusznie zwracają na rozmaite społeczne i praktyczne aspekty nauczania filozofii w liceach, które trzeba brać pod uwagę. Jeśli jednak środowisku zależy na wprowadzeniu filozofii do szkół, to nie można być biernym, bo władze, z powodów, które warto by zidentyfikować, nie chcą tego nawet w ograniczonym zakresie, a w każdym razie starają się rzecz opóźnić.

Jak zaznaczyłem w swoim wprowadzeniu, nie jesteśmy odpowiedzialni za wszystkie szczegóły otoczenia, w którym nam przyszło działać jako filozofom. Dyskusja nad moim tekstem wskazała na szereg słabości polskiego życia akademickiego, nie tylko filozoficznego. Na wiele z nich zwrócił uwagę Jadacki, a można by jeszcze dodać niejedną rzecz. Nie mamy możliwości zmiany prawa o szkołach wyższych czy stopniach naukowych, zasad finansowania nauki, absurdalnego przebiegu karier naukowych (proszę zwrócić uwagę na to, że polityczne bariery znikły, a przeciętny wiek dochodzenia do profesury jest nadal nader podeszły) itd. Nie znaczy to oczywiście, że nie powinniśmy walczyć o naprawę obecnego stanu rzeczy wszędzie gdzie możemy, w publicystyce, w towarzystwach naukowych, w ogólności, wszędzie, gdzie jest to możliwe.

Poruszono też sporo spraw szczegółowych (nie znaczy, że mało ważnych) dotyczących filozofii polskiej jako takiej. Ciekawe, że pojawiły się różnice co do faktów. Grobler utrzymuje, że studia filozoficzne są mało popularne w Polsce, a Gadacz, że uległy umasowieniu. Myślę, że ta druga ocena jest trafna, ale widać, że nawet nie dysponujemy wiedzą empiryczną o bardzo wymiernych rzeczach. Kolarzowa narzeka na dydaktykę filozofii i na to, że studenci innych kierunków nie są zainteresowani kursami filozoficznymi. Moje obserwacje, nie tylko z UJ, są inne (mam na myśli zainteresowanie studentów, na temat dydaktyki usługowej nie mogę wypowiadać się), ale i to trzeba by dokładnie rozpoznać. Skoro mowa o dydaktyce, to pojawił się problem, pośrednio związany z tym, co Grobler określił jako eksterminację młodej kadry. Powoli profesorowie i doktorzy habilitowani zaczynają przeważać w naszych uczelnianych instytutach filozofii. Jest to wynikiem ogólnej polityki dotyczących karier naukowych, ale ma też pewne

specjalne konsekwencje. Każdy, kto jest po habilitacji dąży do własnego (kierunkowego) wykładu czy seminarium, a także niezbyt chętnie prowadzi zajęcia usługowe. Prostym skutkiem tego stanu rzeczy jest to, co zaobserwowała Kolarzowa, nawet jeśli konstatacja ma ograniczoną ważność, a więc traktowanie „usługówki” jako piątego koła u wozu, ale przede wszystkim, pojawienia się (na kierunku) mnóstwa kursów i kursików, gdzie prowadzący walczą o studentów, np. przez masowe stawianie wysokich ocen. To spycha podstawowy kanon wiedzy filozoficznej na dalszy plan. Pewne sprawy można załatwić we własnym zakresie, np. inne zasady punktowania przedmiotów głównych niż n-to rzędnych.

Różne praktyki marketingowe, które odnotował Grobler mają miejsce wszędzie, nie tylko w Gandawie. Na to możemy reagować tylko własnymi próbami przedarcia się do światowej czołówki, bo nikt nam nic nie da za darmo. Biadania czy też dumne oświadczenia w rodzaju „mnie interesuje tylko to, co jest solidnie uzasadnione” nic tutaj nie pomogą. Pamiętajmy jednak, że mamy pewien kapitał, który trzeba wykorzystywać. To przecież nie przypadek, że Davidson i Putnam przyjechali na konferencje o sobie w Polsce, że Popper i Hintikka byli nader dumni z tego, że ich książki ukazały się w serii Biblioteka Współczesnych Filozofów, że Grünbaum wyłożył fundusze z własnej kieszeni, by pomóc wydaniu swego dzieła po polsku itd. Musimy jednak wykorzystywać tego rodzaju postawy i sposobności, to, że Polska jest krajem chętnie odwiedzanym przez markowych filozofów, że możemy organizować konferencje międzynarodowe, że, jak dowiedziałem się niedawno, Warszawa została wybrana jednym z europejskich centrów filozoficznych. Cóż jednak z tego, gdy te szanse nie są często wykorzystywane, np. gdy słyszy się, że stołeczni filozofowie grymaszą z powodu dodatkowej roboty związanej z ewentualnym powstaniem rzeczono centrum. To prawda, że powracający z zagranicy doktorzy renomowanych uczelni mają i będą mieli kłopoty z zatrudnieniem w Polsce, ale tak jest wszędzie. Naszym obowiązkiem jest dołożenie wszelkich starań, by młode talenty nie ginęły, ale z góry możemy założyć, iż nie zawsze będziemy skuteczni. Podobnie trzeba starać się o publikowanie w dobrych pismach zagranicznych, o to, by nasze krajowe były

przyzwoite, ale trzeba pogodzić się z tym, że w kraju, którego język nie jest światowy, zawsze pojawią się tendencje do powoływania lokalnych publikatorów.

Rację ma Gadacz, że potrzebna jest integracja środowiska, że bez tego nic nie zrobimy. To bardzo źle, iż nie ma filozofa w KBN, widać, że środowisko nie potrafi się porozumieć nie tylko w sprawie zaszczytów (członkostwo PAN), ale także względem obrony swych bardzo żywotnych interesów. (...) Muszę wyznać, że pierwsza część dyskusji napawa pewnym niepokojem. Dominują w niej żale, zawody, przejawy beznadziejności itd. Być może sam to spowodowałem swoim zagajeniem, krytycznym wobec istniejącego stanu rzeczy. Inni dodali dalsze szklanice dziegciu. Ale to, co Grobler napisał o przypadku w Gandawie, jest w końcu niczym wobec jego diagnozy stanu rzeczy w całym środowisku. Może rozmaite Alicje odnoszą spektakularne, a niezasłużone sukcesy przy pomocy wielkich Johnów z Kalifornii, ale wielce ponury jest obraz, w którym „ulubiony kolega o pomysłach w najlepszym światowym gatunku od lat konsekwentnie odmawia napisania artykułu po angielsku” z powodu braku motywacji wynikłej „z miejscowego porządku dziobania [wedle] praw gospodarki autarkicznej”. Nie sądzę by było aż tak źle, np. jeśli ktoś ma pomysł, ale nie chce go przedstawić po angielsku, to rzecz świadczy o nim, nie o środowisku. Nie ma powodu popadania w czarnowidztwo (np. nie podzielam poglądu Gadacza, iż historia filozofii w Polsce jest w radykalnym upadku), aczkolwiek nie należy też prezentować megalomanii.